NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 19 sierpnia 1911. Nr. 33

Bandytyzm we Lwowie.

(Treść na str. 7).



Nr. 33. „Nowości illustrowanych" zawiera: Morderstwo i samobójstwo. — Zmiany w armii francuskiej. — Sześćdziesięciolecie służby wojskowej. — Olbrzymi strajk w Londynie. — Przesilenie na najwyższych stanowiskach w armii — Kłopoty młodej republiki. — Sejm strażacki. — Z rewolucyi na Haiti. — Pożar lasów w Tyrolu.

☛ O muzeum w Rapperswilu. ☚



Bandytyzm we Lwowie: Pogrzeb zamordowanego przez złodziei stróża Bieniasza, przy bramie cmentarza łyczakowskiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Morderstwo i samobójstwo.

Pomimo kanikuły Lwów nie może chyba narzekać na brak sensacyi. W przeciągu jednego tygodnia dwa morderstwa, na których wspomnienie, aż krew się w żyłach ścina. Deprawacya wśród naszego społeczeństwa posuwa się do ostatecznych granic!

Tym razem ofiarą mordercy padła niezamożna staruszka, Anna Kuryłowiczowa, wdowa po nauczycielu blacharstwa w zakładzie sierót w Drohowyżu. Zajmowała ona w kamienicy przy ul. Łyczakowskiej l. 29 na pierwszym piętrze pokoik z nyżą i przedpokojem, względnie sionką. Z mieszkania tego, jako dla niej zbyt drogiego, miała się właśnie wyprowadzić, była bardzo spokojna, udzielała się bardzo mało, bliższe stosunki łączyły ją tylko z niejaką p. Wawrzecką, zamieszkałą przy ul. Boimów.

W sobotę przybyła p. Wawrzecka do swej przyjaciółki, zastała jednak drzwi mieszkania zamknięte. Opowiedziano jej, że Kuryłowiczowej już od onegdaj nikt nie widział, a posługaczka nadaremnie dobijała się do drzwi mieszkania. Obawiając się, czy staruszka nie uległa atakowi sercowemu, na który z dawna cierpiała, zawiadomiła o swem przypuszczeniu ekspozyturę policyjną. Przy pomocy ślusarza otwarto drzwi mieszkania, a oczom przybyłych przedstawił się straszny widok!

W nyży za parawanem pod stosem pościeli na materacu, rozłożonym na ziemi, leżały zwłoki ś. p. Kuryłowiczowej, ubranej jak do wyjścia, nawet w kapeluszu na głowie. Długi żałobny welon owijał szyję. Zawezwany lekarz stwierdził, że staruszka została uduszona. Na szyi widniała rana od sznura, z prawej strony znak jakby od węzła, po lewej stronie dwa podbiegnięcia krwawe, pochodzące prawdopodobnie od palców mordercy...

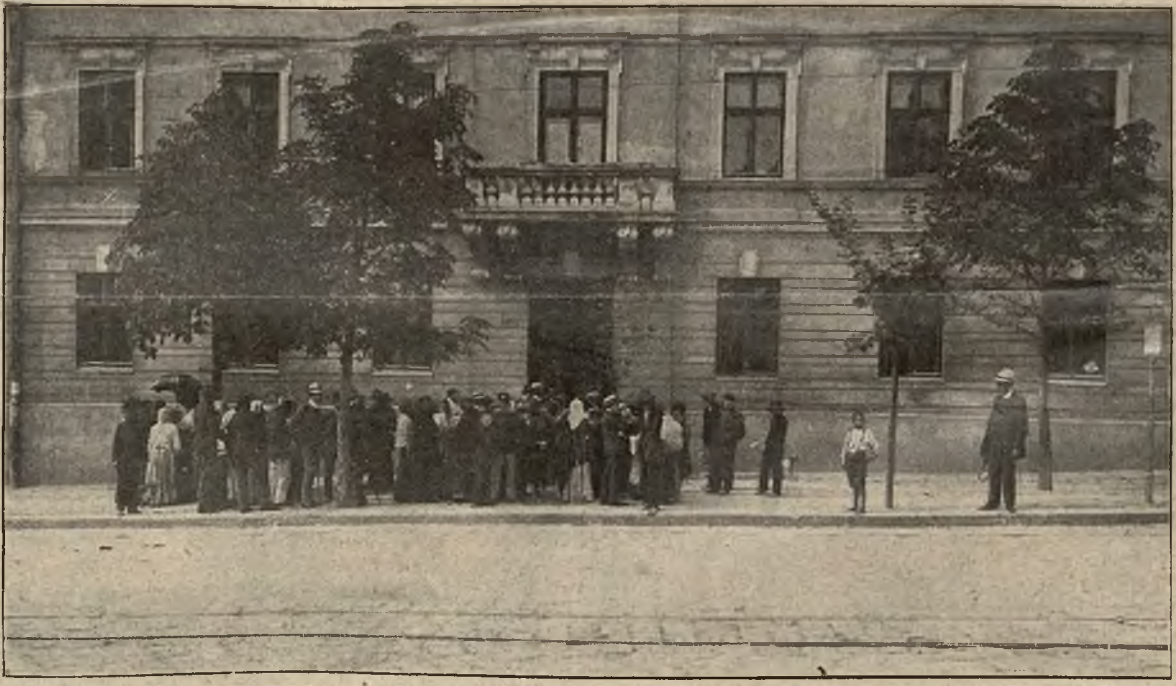
P. Wawrzecka wyjaśniła komisyi zagadkę mordu. Wedle jej zeznań we czwartek popołudniu zgłosił się u ś. p. Kurułowiczowej młody człowiek, liczący około dwadzieścia lat, który przedstawił się jako syn jej przyjaciółki z Drohowyża i prosił o przenocowanie. Staruszka zgodziła się wreszcie, miała jednak widocznie jakieś złe przeczucie, prosiła bowiem Wawrzecką, by razem z nią noc spędziła. Ponieważ łóżka były już spakowane, posłano gościowi w sionce na ziemi, Kuryłowiczowa położyła się na materacu w nyży, Wawrzecka spała w pokoju na sofie.

W piątek rano opuściła Wawrzecka mieszkanie, pozostawiając w niem niezupełnie jeszcze ubraną Kuryłowiczową i gościa, który jak się okazuje, czekał tylko na jej wyjście...

Prawdopodobnie zaskoczył morderca swą ofiarę niespodziewanie, kiedy ubrawszy się zupełnie, gotowała się do wyjścia. Zarzucił jej sznurek na szyję i dusił, zatkawszy usta koszulą, którą znaleziono na zwłokach. Dokonawszy bestyalskiego czynu, zamknął mieszkanie, wziął klucz ze sobą i oddalił się niepostrzeżenie.

Wszystko przemawiało za tem, że celem mordercy był rabunek, łup jednak był bardzo mały, zbrodniarz zabrał bowiem tylko pugilares ofiary, w którym mogło być najwyżej ośm koron, srebrny łańcuszek jej męża i jego koszulę, w którą się zaraz ubrał.

Mordercą był Jan Schäffer, false Stanisław Jan Kulczycki, kapral magazynu artyleryjskiego we Lwowie, skąd zbiegł w dniu 3 b. m. sprzeniewierzywszy 318 koron. Od tego czasu błąkał się po Lwo-



Morderstwo i samobójstwo: Dom przy ulicy Łyczakowskiej l. 29, w którym dokonano zbrodni. (X okno mieszkania ś. p. Kuryłowiczowej).

wie, był też i u brata rzeźnika w Sygniówce, gdzie żądał pieniędzy na wyjazd do Ameryki, jednakowoż ich nie dostał.

Rozpoczęto gorączkowe poszukiwania za mordercą, który wcześniej nawet niż się spodziewano dostał się w ręce sprawiedliwości. Na Wałach Gubernatorskich spotkał ślusarz p. Lach, który znał rysopis mordercy, bardzo podobne indywiduum i spowodował jego aresztowanie. Doprowadzono go na inspekcyą policyjną. Gdy znalazł się w sieni, dobył pospiesznie rewolwer, rozległ się huk, a aresztowany padł zalany krwią na posadzkę. Strzał dany był w prawą skroń.

Zawezwano pogotowie, które opatrzyło samobójcę i przewiozło go do szpitala, w drodze jednak wyzionął ducha.

Był to właśnie Jan Schäffer, dezerter, syn przyjaciółki ś. p. Kuryłowiczowej z Drohowyża, który u niej spędził noc z czwartku na piątek, a rano ją zamordował.



Morderstwo i samobójstwo: Zwłoki ofiary ohydnego mordu, znalezione w nyży pod stosem pościeli.

Zmiany w armii francuskiej.

Nie tylko armia austryacka stoi w przededniu radykalnych zmian na najwyższych stanowiskach, tego samego dokonano także i we Francyi, gdzie od czasu wojny francusko pruskiej dąży się stale i konsekwentnie do powetowania szkód i zdobycia sobie napowrót mocarstwowego stanowiska.

Były minister wojny Goiran wychodził z zało-

żenia, że jeden i ten sam człowiek nie może być dowódcą wszystkich armii francuskich i to było powodem upadku gabinetu Monisa. Następca jego Messimy, wystąpił z żądaniem gruntownych zmian w zakresie administracyi wojskowej, do przyspieszenia reformy przyczynił się niemało konflikt dotychczasowego generalissimusa armii, Michela, z resztą członków najwyższej rady wojennej. Zapatrywania naj-



Zmiany w armii francuskiej: Szef sztabu jeneralnego i naczelny dowódca armii, jenerał Joffre.

wyższe stanowiska zajmujących oficerów były podzielone, różnica zdań pomiędzy generalicyą stała się publiczną tajemnicą. Na razie obeszło się bez dymisyi Michela, na mocy jednak dekretu ministeryalnego zniesiono formalnie stanowisko generalissimusa armii francuskiej.

Odtąd komitet obrony narodowej składa się z prezydenta ministrów, ministrów: wojny, marynarki, kolonii, spraw zagranicznych i skarbu, oraz trzech wyższych oficerów. Sztab jeneralny i komitet techniczny jeneralnego sztabu oddano pod komendę jednego z jenerałów, który na wypadek wojny dowodzi równocześnie główną armią. Do rady wojennej należą wszyscy komenderujący jenerałowie, przewodnictwo obejmuje najstarszy wiekiem. Tytuł *chef d'état-major-général* nosić będzie odtąd głównodowodzący w czasie wojny, przydzielonym mu zaś zostaje *chef d'état-major de l'armée*, który pozostaje w Paryżu i stanowi łącznik między ministrem a armią i jej dowódcą. Nominacya szefa sztabu jeneralnego odnawiana musi być corocznie.

Pierwotnie miał zamiar minister wojny Messimy ofiarować tę godność najpopularniejszemu z pomiędzy francuskich generałów, jenerałowi Pau, który w r. 1870 stracił na polu bitwy prawą rękę. Pau odmówił przyjęcia, rzekomo z tego powodu, iż już za dwa lata występuje z armii z powodu osiągnięcia „granicy wieku“, w rzeczywistości zaś, ponieważ odmówiono jego słusznemu żądaniu, by miał głos decydujący przy wyborze współpracowników i naj-



Olbrzymi strajk w Londynie: Policya strzegąca robotników, pracujących przy wyładowywaniu towarów.

bliższego swego otoczenia. Nie życzył sobie mianowicie jenerała Dubaila, jako szefa sztabu armii.

Ponieważ byłoby to ograniczeniem praw ministra wojny, który sam o tem może decydować, wybór padł na jenerała Joffre, który liczy pięćdziesiąt dziewięć lat i będzie mógł jeszcze przez lat sześć piastować to stanowisko.

Joffre, absolwent szkoły politechnicznej, brał udział jako podporucznik w wojnie francusko-pruskiej. Po zawarciu pokoju, przydzielony do pułku pionierów doprowadził tam rychło do rangi kapitana, następnie zaś wysłano go na Wschód. W r. 1894 dowodził armią posiłkową w Sudanie.

Jako pułkownik przeprowadził obwarowanie Diego-Suarez na Madagaskarze, w r. zaś 1902 zamianowany został jenerałem brygady i dyrektorem budownictwa wojskowego przy ministerstwie wojny, od r. 1905 dowodził szóstą dywizyą w Paryżu, wreszcie piastował godność komendanta drugiego korpusu armii w Amiens, był członkiem rady wojennej i inspektorem szkół wojskowych.

Sześćdziesięciolecie służby wojskowej.

Dotychczas jeden jedyny raz tylko święciła armia austryacka sześćdziesięcioletni jubileusz służby wojskowej a mianowicie 1906 r.: w roku tym ukończył sześćdziesiąt lat służby generał zbrojmistrz br. Beck, ówczesny szef sztabu generalnego. Łatwo zrozumieć, że tego rodzaju jubileusz jest niezmiernie rzadki, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, bo tylko niewielu może być danem, by mając lat przeszło 70 zachowali jeszcze tyle czerstwości, zdrowia i sił, iż mogą służyć czynnie w armii.

Obecnie przygotowuje się armia austryacko-węgierska do drugiego takiego niezwykle rzadkiego jubileuszu, gdyż w bieżącym miesiącu upłynie 60 lat, gdy generał piechoty Géza bar. Fejérváry po ukończeniu akademii wojskowej w Wiener Neustadt został mianowany podporucznikiem.

Bar. Fejérvary jest dziś jedynym żyjącym kawalerem orderu Maryi Teresy, wysokiego odznaczenia, które może otrzymać tylko jeden oficer armii



Olbrzymi strajk w Londynie: Wozy, służące do transportu towarów, nieczynne wskutek strajku woźniców.



System taniego życia: Fryderyk Madsen, który żyjąc wedle systemu dr. Hindhede'a, wydaje na pożywienie najwyżej 30 hal. dziennie.



Pożar hotelu: Gmach hotelu „Carlton“ w Londynie podczas katastrofy pożaru.

austryacko-węgierkiej w nagrodę za waleczność. Odznaczenie to zdobył on w bitwie pod Solferino, będąc wówczas kapitanem. W roku 1884 oddano bar. Fejérváremu portfel obrony krajowej, który to portfel dzierżył przez lat prawie dwadzieścia, bo do 1903 roku. W międzyczasie był też posłem na Sejm węgierski a następnie członkiem Izby magnatów.

Baron Fejérvary położył wielkie zasługi zarówno w życiu politycznem, jak wojskowem i zdobył sobie ogromną popularność i zaufanie Korony. Tem też wytłómaczyć należy, iż kiedy 1905 r. prezydent ministrów węgierskich Tisza upadł przy wyborach, cesarz powołał Fejérvárego na jego następcę. Po złożeniu godności premiera, objął stanowisko kapitana węgierskiej przybocznej gwardyi trabantów.

Z okazyi zbliżającego się jubileuszu spotkał się sędziwy generał z licznymi dowodami uznania i sympatyi.



Sześćdziesięciolecie służby wojskowej: Generał Geza Fejérvary, kawaler orderu Maryi Teresy.



Kłopoty młodej republiki: Zajście między gwardyą konną a demonstrantami na placu Luiz de Camoens.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

14)

— Odwołuję się do sumienia obecnych, czy potem, com tu oświadczył, ś. p. przyjaciel mój zasłużył na tak karczemne przekleństwa, jakie tu słyszeliśmy?

To rzekłszy spojrzał po obecnych i dodał:

— Widzę w oczach szanownego zgromadzenia, że potępia wystąpienie, co najmniej niewłaściwe, tej damy.

Tu wskazał dość niegrzecznie palcem na panią Zenobię i zwracając się do urzędnika rzekł:

— Racz pan czytać dalej.

Pani Zenobia zmieszana usiadła z majestatyczną godnością, nie przestając szlochać i ściskać wydzierającego się jej Ferdzia, a Sergiej Bolesławicz mruknął:

— Czort baba! Jej Bohu, czort baba!

Na szczęście zajęta swoim płaczem i wstrzymywaniem wyrywającego się z jej objęć macierzyńskich Ferdzia, nie dosłyszała tych słów, bo z pewnością byłaby nowa awantura, na której niewiadomo, czyby koleżski asesor dobrze był wyszedł.

Urzędnik począł czytać co następuje:

„Nakoniec mając w pamięci wieloletnią, wierną i uczciwą służbę w moim domu w charakterze zarządzającej, pani Magdaleny Schmidt, jej troskliwość o mnie, zapisuję jej nie jako wynagrodzenie, ale w dowód wdzięczności rubli srebrem dziesięć tysięcy“.

— Donnervetter sakrament! — mruknął Miller — a pani Zenobia Kapuścińska znowu podniosła się z kanapy, zapewne w zamiarze wypowiedzenia swego oburzenia, ale spotkawszy się z groźnem, wyłupiastem spojrzeniem rejenta, umilkła i siadła ciężko wzdychając.

Urzędnik głosem znudzonym czytał tymczasem:

— Córce pani Magdaleny Schmidt, pannie Anieli Schmidt, zapisuję 15 tysięcy rubli.

Anielka, dotąd ze zmarszczoną brwią wsłuchująca się w tekst testamentu i nie słysząc tak długo swego i swej matki nazwiska, prawie pewną była, że ten niegodziwy ojciec i kochanek, zapomniał o swej kochance i córce, teraz wyjaśniła swą twarzyczkę, spojrzała na Antka, który siedział skulony z łokciami na kolanach, zapewne kombinując w swej głowie, co on to przy pomocy sukcesyi swojej zrobi na świecie i uśmiechnęła się słodko do niego. W jednej chwili obliczyła, że przecież suma przekazana matce, wcześniej czy później na nią spadnie, że zatem otrzymała równy dział z innymi sukcesorami, że zatem wcale pokrzywdzoną nie została i że ten ojciec i kochanek nie zapomniał ani o swej córce, ani o kochance. Była z tego bardzo zadowolona i czując na sobie złe i gniewne spojrzenia Millera, Jasińskiego i pani Zenobii zarumieniła się (z czem jej zresztą było bardzo do twarzy) i rzuciła okiem na Stanisława, który uśmiechnięty zdawał się całą postacią winszować takiego obrotu rzeczy. Jednocześnie zauważyła, że Jasiński nagle zmienił wyraz gniewny, dotąd rysujący się na jego twarzy, powstał na palcach, zbliżył się do Anielki i szepnął:

— Winszuję pani!

Ze źle ukrywanym wstrętem kiwnęła mu główką na podziękowanie i zwróciła się do Antka, który w niezmienionej pozycyi siedział nieruchomy, jakby go cała ta niema scena nic a nic nie obchodziła.

Wśród tego urzędnik śmiertelnie znużonym głosem kończył odczytywanie testamentu w tych słowach:

„Pragnę również i żądam i kładę to za obowiązek głównemu memu sukcesorowi bratankowi, Stanisławowi Kozłowskiemu, ażeby tę moją ostatnią wolę ściśle wypełnił, jako główny egzekutor. Zdarzyć się może, iż zgłosi się także niejaki Bolesław Kozłowski, zamieszkały w Petersburgu, który aczkolwiek o ile wiem, nie jest żadnym moim krewnym, wszelako z uwagi, że łączyły mnie niegdyś stosunki, których natury ze względów politycznych nie uważam za stosowne wyjaśniać...

Tu zerwał się z kanapy Sergiej Bolesławicz, z ciężkością wydobywając się z poza fałdów szeroko rozpostartej sukni pani Zenobii i wyciągając swą długą, żórawią szyję, zawołał:

— To mój ojciec, ja że Sergiej Bolesławicz Kozłowskij... da patrz pan Stanisław, co ja nie napróżno tu w Polszczu przyjechał.

Ale urzędnik, którego widocznie męczyło odczytywanie testamentu w tej sali o dusznem, gorącem powietrzu i pragnął rzecz tę jaknajprędzej skończyć, nie zważając na wystąpienie koleżskiego asesora, czytał dalej:

„...W takim razie, gdyby rzeczony Bolesław Kozłowski, albo gdyby on już nie żył, syn jego, o ile pamiętam Sergiusz imieniem, zgłosił się do Gór, aby mu mój bratanek Stanisław ze swej sukcesyi wypłacił w charakterze odczepnego paręset rubli. Taka jest moja wola ostatnia“.

— Co to? Jak to? paręset rubi? co to znaczy? wołał Sergiej Bolesławicz pytającym wzrokiem wodząc dokoła.

Na to rejent Ostrowski, zarzuciwszy swoim zwyczajem okulary na czoło, wlepił swe wyłupiaste oczy w Sergieja i głosem pełnym ironii, rzekł:

— Paręset rubli znaczy w języku polskim dwieście.

— Jakto dwieście?

— Tak dwieście, to znaczy dwie setki, dwa papierki sturublowe z portretem imperatorowej Katarzyny Wielkiej.

Na te słowa Anielka głośno się roześmiała, a Ferdzio „nieszczęsna sierotka“, wyrwał się nakoniec z słodkich objęć macierzyńskich, jednym skokiem znalazł się na środku sali, wywiesił język na Sergieja i krzycząc: „małpa zielona! małpa zielona!“, pędem wyleciał za drzwi.

Rejent, około którego ta dzielna latorośl rodu Kapuścińskich przeleciała, a nawet go potrąciła, patrzył z wyrazem ironicznego zdziwienia za biegnącym, dopóki ten nie zniknął za drzwiami i spytał:

— Czyjże to jest ten miły chłopiec?

Pani Zenobia podniosła się z kanapy, wdzięcznie dygnęła i z najsłodszym uśmiechem na swej obsypanej pudrem twarzy, zawołała:

— Mój, prześwietny sądzie.

Wtedy rejent podniósł się również, ukłonił się mamie Zenobii i rzekł:

— Winszuję pani!

Anielka znowu nie mogła się powstrzymać i parsknęła głośnym, niepohamowanym śmiechem, bo w złotem usposobieniu, w jakiem się teraz znajdowała, wszystko ją rozśmieszało. Ale pani Zenobia, nie wiedząc na pewno, czy rejent w rzeczy samej zachwycił się jej synkiem-sierotką, czy też drwi sobie z niej, podejrzywając jednak to ostatnie, zwróciła się z zaiskrzonem od gniewu jedynem okiem ku Anielce i groźnie zapytała:

— Czegóż się panna śmieje i zęby szczerzy?

Ale Miller nie dopuścił do dalszej w tej sprawie rozmowy i zawołał groźnie:

— Ja proszę, aby sprawę tę raz zakończyć, ja nie mam czasu tu siedzieć i słuchać głupich sporów. Proszę pana rejenta o zakończenie kwestyi sukcesyi. Co ma być dalej?

Rejent spoważniał, skinął lekko głową i z wyraźnem szyderstwem w głosie rzekł:

— Właściwie pan dobrodziej sprawę swą uważać winien za skończoną i jeżeli czas jego jest tak drogi, może już to szanowne zgromadzenie opuścić. Według woli zapisodawcy suma 25 tysięcy rubli, przypadająca jego czcigodnej małżonce, pani Filomenie z Kozłowskich zamężnej Millerowej, ma być zahipotekowana na majętności Góry z przyległościami. Raczy pan tedy umówić się z panem Stanisławem Kozłowskim, właścicielem tychże Gór z przyległościami o czas zjechania się w mieście gubernialnem, obstalować tamże odnośny akt i wnieść go do ksiąg wieczystych rzeczonej majętności. Tu już obecność szanownego pana nie jest potrzebna.

To rzekłszy skłonił się i sięgnął ręką po ogromny portfel skórzany, mocno pękaty. Miller gniewny nadzwyczajnie, ale mimoto hamujący się, powstał i zwracając się do żony, rzekł:

— Chodź, mein Schatz, obdarto nas tu bez sumienia.

Ciotka Filomena wyprostowana, chuda, zasuszona, rzucając dokoła dumne wejrzenie, jakby zdawała się mówić: „podziwiajcie mojego męża“, ruszyła krokiem miarowym ku drzwiom, a jej mąż przechodząc koło Jasińskiego, szepnął mu coś do ucha, na co ten odpowiedział kiwnięciem głowy, co znowu nie uszło uwadze Sergieja Bolesławicza, który ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Jasińskiego. Miller doszedłszy do drzwi, zatrzymał się, tonem szorstkim gbura niemieckiego zwrócił się do Stanisława i zapytał:

— Prosiłem o konie, czy są już gotowe?

Stanisław zerwał się i biegnąc ku swemu kuzynowi rzekł tonem błagalnym:

— Przecież wujaszek nie odjedzie zaraz. Obiad będzie za chwilę, skoro tylko ukończymy te sprawy.

— Nie chcę waszego obiadu, nie przełknąłbym kęska nawet w tym domu, w którym tak niecnie nas ograbiono.

A ciotka Filomena wyprostowała się i obrzucając surowem wejrzeniem obecnych, jak nastrojona pozytywka na ten sam ton powtórzyła słowa męża:

— Tak, nie chcemy waszego obiadu, nie przełknęlibyśmy kęska nawet w tym domu, w którym nas tak niecnie okradziono.

Miller dodał:

— Proszę natychmiast o konie.

— Prosimy natychmiast o konie! — powtórzyła ciotka Filomena.

Stanisław zniechęcony i gniewny odrzekł na to:

— Dobrze, będą zaraz konie!

A rejent stojąc zauważył głośno:

— Nie rozumiem, jak może tu być mowa o jakiemś okradzeniu. Pani Filomena z Kozłowskich, zamężna Millerowa, otrzymała równy dział z innymi sukcesorami. Gdzie tu jest jakieś okradzenie? — I w ogóle radziłbym liczyć się z wyrażeniami.

Zaiskrzyły się złe, brzydkie oczy Millera, posunął się parę kroków naprzód i ściskając potężne pięści krzyknął:

— Donnerwettersakrament! Dość już mam tego! Jak pan śmiesz mi jakieś uwagi robić i strofować mnie ciągle? Ja powiadam, że mnie tu okradziono, obrabowano i niech was wszystkich, jak tu jesteście, dyabeł porwie! Popamiętacie mnie jeszcze!

Zgrzytnął zębami, pogroził pięścią, tupnął nogą, splunął głośno, z trzaskiem otworzył i zamknął drzwi za sobą i z swoim „Schatzem“ i zniknął z oczu obecnych.

Rejent stał, patrzył na drzwi, wreszcie nasunął okulary na czoło. stuknął w tabakierkę, wydobył szczyptę tabaki i trzymając ją między palcami podniesionymi do góry, rzekł spokojnie:

— Tak źle wychowanego człowieka nie zdarzyło mi się nigdy w życiu spotkać. A żyję już sześćdziesiąt lat na tym świecie. Ale prawda, zapomniałem, że to Niemiec!

XX.

Rejent wygłosiwszy uwagę o złem wychowaniu Niemców w ogólności, a Millera w szczególności, otworzył kluczykiem przyczepionym do zegarka suto wypchaną tekę skórzaną i rzekł:

— Według woli testatora, a mego przyjaciela ś. p. Teodora Kozłowskiego, każdy z łaskawie przeze mnie obdarzonych zapisem, ma odebrać tutaj w tej sali, przypadającą mu część w gotówce. Proszę zatem naprzód pana Stanisława Kozłowskiago, aby się zbliżył, policzył łaskawie, czy w tej paczce znajduje się 25 tysięcy rubli, a policzywszy, podpisał się na przygotowanem uprzednio pokwitowaniu, urzędownie sporządzonem.

Taką przemowę miał do każdego z sukcesorów, wręczając im przygotowane już i owinięte paskiem papieru paczki pieniędzy, na których mieściły się ich nazwiska. Każdy odbierał, liczył lub nie liczył i podpisywał się na kwicie, który mu podsuwał sekretarz rejenta.

Gdy przyszła kolej na panią Zenobię Kapuścińską i gdy zażądano od niej podpisu, ta krygując się i uśmiechając odrzekła:

— Podpisać nie mogie, bo mam „romatyzm“ w ręce.

— Jednakże podpisać trzeba — zauważył rejent.

— Czósz, prześwietny sądzie, kiedy nie mogie.

Rejent domyślił się, że pani Zenobia pisać nie umie, nie nalegał więcej, ale był mocno niezadowolony, bo trzeba było nowy kwit sporządzić, na którym mieli położyć swe nazwiska dwaj świadkowie za „nieumiejącą pisać“ sukcesorkę. Usłyszawszy to pani Zenobia, uroczyście zaprotestowała przeciw tak niegodnemu posądzeniu, jakoby ona nie umiała pisać.

— Więc podpisz pani do kaduka — zawołał zniecierpliwiony rejent — i skończmy raz tę sprawę.

— Kiedy nie mogie, bo mam romatyzm.

— Reumatyzm nie może przeszkodzić waćpani do napisania dwóch wyrazów.

— Ja nie jezdem żadna waćpani.

— Podpisz więc pani.

— Kiedy nie mogie.

Skończyło się na tem, że rejent zły i zmęczony, kazał sporządzić nowy kwit, w którym wyraźnie stało mimo protestów pani Zenobii, że nie umie pisać i że za nią dwóch wiarygodnych świadków Stanisław Kozłowski i Antoni Wiśniewski kładą swe podpisy, jako przypadającą na nią z zapisu te-

stamentowego, sumę 10 tysięcy rubli w całości otrzymała.

Z różnem uczuciem i z różnym wyrazem twarzy odbierali spadkobiercy Teodora Kozłowskiego przynależne im sumy. Antek Wiśniewski z bolesnem skrzywieniem, mającem u niego oznaczać uśmiech, wziął obojętnie wręczoną mu grubą paczkę banknotów, owinął ją niedbale w jakąś starą, z brudzoną gazetę i wsunął do bocznej kieszeni surduta, czemu z szyderczym wyrazem przypatrywał się Jasiński, jakby mówił:

— Nie długo ona tam leżeć będzie.

Pani Zenobia Kapuścińska, dotąd narzekająca na krzywdę, jaka ją i jej „Ferdzia sierotkę" spotkała, gdy zobaczyła w swem ręku paczkę różnokolorowych papierków, roześmiała się głośno w uczuciu niepohamowanej radości i nie zważając na obecność mężczyzn, co żywo i zamaszyście podniosła swą suknię jedwabną i do ogromnej kieszeni podobnej do worka, przyczepionej do brudnej, kraciastej spódnicy, wpakowała pieniądze.

Jasiński, który bacznie obserwował, gdzie schowała pani Zenobia przypadającą jej sumę, chwycił szybko z rąk rejenta swoje 10 tysięcy rubli, prędko i zamaszyście kwit podpisał i wybiegł z sali. Za nim nic nie mówiąc podążył na swych bocianich nogach Sergiej Bolesławicz, skradając się jak można najciszej i wyciągając swą długą żórawią szyję.

Stryjaszek Józef wziął do rąk paczkę pieniędzy i uderzając w nią dłonią, głosem śpiewnym zadeklamował:

— „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie".

I śmiał się głośno, rubasznie i gadał:

— No teraz pokoci się koroniarzom serdeńkom!

Anielka zarumieniona jak róża, z radością, której nie starała się nawet ukryć, wzięła do białych rączek pieniądze i podpisując się na kwicie, śmiała się do ciągle pochmurnego i zamyślonego Antka.

Pani Schmidt wezwana do sali, gdy otrzymała zapisaną jej sumę, stanęła bezradna i płaczliwym głosem mówiła:

— Mój Boże, co ja zrobię z taką masą pieniędzy? co mi po nich?

— Już niech mama się nie kłopocze — wołała śmiejąc się Anielka — my z panem Antonim porządzimy mamie, co zrobić z tą masą pieniędzy,

I szczerzyła swoje białe ząbki radośnie i wesoła, rzucając z boku ogniste spojrzenia na zadumanego Antka.

Kiedy nakoniec sprawa wypłaty została szczęśliwie załatwiona, Stanisław, jako gospodarz domu zaprosił wszystkich na werandę, gdzie już stół był zastawiony do obiadu, nakryty bielutkim obrusem, iskrzący od sreber i kryształów, woniejący od mnóstwa kwiatów, zdobny w całe bateryje butelek, z różnokolorowemi główkami. Rejent Ostrowski dotąd gniewny, zmęczony, zmarszczony, ujrzawszy to, rozjaśnił swe pulchne oblicze i nie pytając, zajął zaraz pierwsze miejsce, zapewne nie chcąc, aby „ordynaryjna baba", jak po cichu nazywał panią Zenobię, na niem zasiadła. A przytem z wieku i urzędu ten zaszczyt mu się należał.

Pani Zenobia, która w innym razie byłaby się może o to obraziła, teraz jednak, czując w potężnym worku pod jedwabną spódnicą, grubą paczkę „katarynek", jak storublówki nazywała, była w słodkiem usposobieniu i największą nawet obrazę gotowa była wybaczyć, siadła po prawej stronie rejenta, z czego ten jak się zdaje wcale nie był zadowolony. To też przez cały czas obiadu zachowywał się wobec swej sąsiadki, jakby jej wcale nie było.

Obiad zresztą był bardzo wesoły. Rejent sypał konceptami jak z rogu obfitości, Antek wypiwszy kilka kielichów starego burgunda rozweselił się nadzwyczajnie i zwracając się do stryjaszka Józefa zawołał:

— No! stryjaszku wydało się teraz, że byłeś za młodu pożeraczem serc niewieścich.

Stryjaszek Józef, który wolno i systematycznie popijał tylko węgrzyna, smakując za każdym łykiem, mlaszcząc językiem i poglądając pod światło na zawartość kieliszka, nazywając inne wina lurą, niegodną podniebienia porządnego Litwina, spojrzał swemi głęboko osadzonemi, nieco chytremi oczyma na Antka i rzekł:

— Taj serce ty moje, gdzie ja jaką niewiastę pożarłem? Ja zawsze bywszy ich wielbicielem.

— Otoż oto idzie — zawołał Antek — wszak ze stryjaszkiem Teodorem posprzeczaliście się o jakąś piękność.

— Piękną to ona nie była, ale prawdę rzekłszy, była dziewka jako rzepa!

Słowa te wywołały śmiech ogólny, a rejent rzekł:

— Pamiętam ją dobrze. Na imię jej było Cecylia, co w sam raz przypadało do jej figury, zbyt obfitymi wdziękami obdarzonej.

— Ja bo braciaszku zawsze lubiałem tłuste kobiety — wtrącił naiwnie stryjaszek Józef.

— Jak Turek! — zawołał Stanisław, który także rozweselił się, zapomniawszy zupełnie o grożącem mu i jego gościom napadzie bandytów.

Antek wpadłszy w niepohamowaną wesołość, właściwą naturom skrytym, melancholijnym i nerwowym, wołał głosem niezwykle krzykliwie podniesionym:



Podpisać nie mogie, bo mam rematyzm w ręce.

— Opowiedz nam stryjaszku Józefie twą miłość do pulchnej Cecylii.

Ale nim stryjaszek Józef zdołał odpowiedzieć na to żądanie, wsunął się na werandę Sergiej Bolesławicz, stąpając cicho w swych butach bez obcasów, z wyciągniętą naprzód szyją, spocony i zmęczony mocno, ocierający twarz czerwoną, brudną chustką z wydrukowanym na niej portretem Lwa Tołstoja. Wszedłszy przystanął i zaczął poglądać oczami, widocznie szukając kogoś, poczem podsunął się do Stanisława, który jako gospodarz siedział na końcu stołu, przycupnął przy nim na próżnem krześle i nachyliwszy się mu do ucha szepnął:

— Znacie pan, ja chodził za tym syszczykiem Jasińskim. Nu, namęczył on mnie, namęczył niegodnie, ale ja swoje zdziełał. Już jak Sergiej Bolesławicz chce co zrobić, to zrobi, twarzą w błoto nie uderzy.

— No i cóż? cóż takiego? — zapytał zaniepokojony Stanisław, nagle z wyżyn wesołości wpadając w otchłań smutku, przypomniał sobie bowiem groźbę napadu bandyckiego.

— Nu... jest, to jest dużo. Oni poszli z tym grubym Niemcem do jego komnaty i tam zaparli się. Słyszeć to nic nie można było. Nu, to ja zanurzył się w trawu pod okienkiem, jak szczuka w wodu, pełz bo pełz, aż przyszedł pod okno, a furteczka była odkryta.

— Jaka furteczka?

— Nu w oknie... nie pojmujecie pan?

— Mniejsza o to, i cóż?

— To to i jest, co nic. Gadali ta gadali oni długo, ale ja choć uszy nadstawił, ze skóry lazł, nic nie słyszał. Oh! pewnie wiesz pan, co oni intrygu, polskoju intrygu robią.

Nie wiele się z tego Stanisław dowiedział, a zwróciwszy uwagę na gwarną wesołość przy stole, przestał słuchać Sergieja Bolesławicza, który też niebawem zapomniał o intrydze polskiej, zamierzanej jakoby przez Niemca Millera i wolnonajemnego z policyi Adama Jasińskiego, a zabrał się do połykania raz po razu nacyonalnej oczyszczonej.

Gdy jednak po niejakim czasie już połowa butelki zniknęła w przepaścistych głębinach jego szerokiej natury, zwrócił się znów do Stanisława i patrząc nań zamglonemi od obfitych libacyi oczyszczoną oczyma rzekł:

— Widzisz pan, wyście gadali, co ja Sergiej Bolesławicz Kozłowskij, koleżski asesor od Pitra, nie wasz rodny. A taki błogiej pamięci wasz dziadzia, w zamieszczonem o mnie wspomniał i zapisał mi pieniądze, a?

— W rzeczy samej zapisał panu.

— Nu co? dwieście celkowych! czort zabierz, plunąć na to! Co mnie dwieście celkowych, to i pohulać nie będzie za co w Pitrze. Ja uwierzen w to, coby mi błogiej pamięci wasz dziadzia zapisał jakie dziesięć tysięcy bumażek, żeby nie polska intryga. Słusznie mnie gadali Iwan Kononowicz: ej, wy Sergiej Bolesławicz nie jedźcie w Polszczu, tam was pany i księdzy ze wszystkiem zamęczą. Nie wiedzie się ruskiemu człowiekowi w Przywiślinii... ot co jest! To i wracać do Piter nie będzie za co.

— Chętnie panu zwiększę tę sumę — odrzekł Stanisław.

— Co? tysiączek jeden lub dwa?a?

— No! zaśmiał się Stanisław — to może za dużo... ale pogadamy o tem później.

Westchnął Sergiej Bolesławicz i zabrał się znowu do oczyszczonej, by w niej utopić zmartwienie, że „nie wiedzie się ruskiemu człowiekowi w Przywiślinii".

Ale po chwili posępnej zadumy nad intrygą polską, która zamiast spodziewanych tysięcy — pozwoliła mu z milionowej sukcesyi po Teodorze Kozłowskim, udzielić zaledwie dwieście rubli i to „odczepnego", trącił w bok Stanisława i spytał półszeptem:

— Powiedzcie pan, gdzie jest madam Schmidt? poczemu jej tu niema?

— Ona nigdy nie siada do stołu, zajęta jest w kuchni.

— Da, gospodyni to, gospodyni! Powiedzcie pan, ile u niej lat?

— Nie wiem, skądże mogę o tem wiedzieć?

— Nu, jak wy myślicie? po mojemu to ona niema i czterdziestu.

— Może.

Stanisław zajęty rozmową przy stole, zdziwiony hałaśliwą wesołością Anielki, niechętnie odpowiadał koleżskiemu asesorowi, który uraczywszy się nacyonalną oczyszczoną, chwiał się na krześle i od czasu do czasu czkawka go męczyła. Ale Sergiej nie zważał na monosylabowe odpowiedzi Stanisława, tylko po chwili znowu począł:

— Słuchajcie Pan.

— Słucham.

— Znacie pan co? ja... czort zabierz! mnie kuczy się kawalerski stan, ani to wycirki jak należy, bielizny, ani pojeść dobrze, nic... ot co, jaby się ożenił na madam Schmidt, a?

Stanisław głośno się roześmiał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Bandytyzm we Lwowie.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotograficznych).

Stosunki bezpieczeństwa publicznego we Lwowie stały się w ostatnich czasach wprost niemożliwe. Nie dość, że złodzieje rozzuchwalili się tam niesłychanie, nie dość, że kradną jak kruki, że niemal w biały dzień obrabowują mieszkania, ale jeszcze znajdują się wśród nich prawdziwi bandyci, gotowi w razie wykrycia i w niebezpieczeństwie utraty wolności do najstraszniejszej, najpotworniejszej zbrodni, bo do mordowania bezbronnych ludzi. Zwłaszcza ostatni wypadek bandytyzmu we Lwowie, zakończony zamordowaniem stróża domu a poranieniem jednego z lokatorów, nasuwa smutne pod tym względem refleksye i kładzie władzom bezpieczeństwa publicznego na sumieniu konieczność natychmiastowej sanacyi tych stosunków i zapewnienia bezpieczeństwa bezbronnej ludności.

Wypadek, o którym mowa, a który rozegrał się w ubiegłym tygodniu w domu pod l. 10 przy ulicy Długosza we Lwowie, jest tak znamienny a przytem obfituje w momenty tak prawdziwie dramatyczne, że wiadomość o nim zdołała poruszyć do głębi opinię całej stolicy kraju. W wykonywaniu bowiem ciężkiego obowiązku, w pogoni za wykrytymi złodziejami, postradał życie zastrzelony przez bandytów młody człowiek, żonaty i dzietny, osierocając niezaopatrzoną rodzinę, drugi zaś, którym również powodowało poczucie obowiązku i chęć obronienia cudzego mienia, odniósł ciężką ranę, grożącą mu kalectwem do końca życia.



Bandytyzm we Lwowie: Mieszkanie pp Borkowskich przy ul. Długosza, splądrowane przez złodziei-bandytów.



Bandytyzm we Lwowie: Mieszkanie pp. Borkowskich przy ul. Długosza, splądrowane przez złodziei-bandytów.

Przebieg smutnego wypadku był następujący. Oto w nocy na środę ubiegłego tygodnia posłyszał jeden z lokatorów kamienicy przy ul. Długosza l. 10, iż w mieszkaniu nieobecnego właściciela domu p. Borkowskiego grasują złodzieje. Zbudzono tedy dozorcę domu Józefa Bieniasza, który wezwawszy do pomocy jednego z młodych lokatorów, Oryszczaka, a następnie przywoławszy z ulicy patrolującego w tamtej stronie policyanta, ruszył wraz z nimi ku mieszkaniu pp. Borkowskich, celem ujęcia rzezimieszków. Ci widcznie posłyszeli ruch w kamienicy, gdyż w chwili gdy dozorca z policyantem zbliżyli się do mieszkania, drugiem wyjściem zaczęli uciekać. Tam jednak stał na straży p. Oryszczak, ktory też schwycił jednego ze złodziei. W tej chwili padł strzał a ugodzony kulą w głowę Oryszczak musiał puścić bandytę, sam zaś padł bez zmysłów na ziemię. Tymczasem złodzieje zdołali wydostać się na dziedziniec, a stamtąd chcieli przez parkan zbiegnąć do sąsiedniego ogrodu instytutu fizycznego. Jednego z nich dopadł tam dozorca domu Bieniasz, schwycił go za nogę i usiłował ściągnąć na dół. Wówczas drugi bandyta, który już siedział wysoko na parkanie, dał do Bieniasza trzy strzały w głowę i zamordował go na miejscu. Korzystając następnie z popłochu, obaj bandyci zbiegli. Dopiero po chwili rzucono się na ratunek ofiarom rzezimieszków. Niestety jedna z nich leżała już martwa. Rannego zaś ciężko Oryszczaka przewiozło pogotowie ratunkowe do szpitala.

Zawiadomiona natychmiast o strasznym wypadku policya rozpoczęła gorączkowe śledztwo w celu wykrycia sprawców potwornej zbrodni. Cały sztab agentów policyjnych z komisarzami Tauerem i Pisarskim na czele ruszył na obławę złoczyńców i już w godzinę później ujęto w ulicy św. Zofii indywiduum ze wszech miar podejrzane o wspólnictwo w zbrodni. Dalsze śledztwo ustali niewątpliwie, czy aresztowany osobnik, nazwiskiem Szutryk, jest istotnie winnym. Na razie przemawia przeciw niemu cały szereg poważnych poszlak.

Wiadomość o wypadku w ul. Długosza wywołała w całem mieście wstrząsające wrażenie. Przedewszystkiem ogólne współczucie towarzyszy młodej żonie zamordowanego Bieniasza, który padł jako ofiara obowiązku. Liczne ofiary na rzecz wdowy i dziecka zabitego są najlepszym dowodem, jak duże wrażenie wywarł ten wypadek w szerokich kołach mieszkańców stolicy. Także pogrzeb zamordowanego przy tłumnym udziale ludności świadczył o współczuciu dla ofiary zbrodni i jej rodziny.

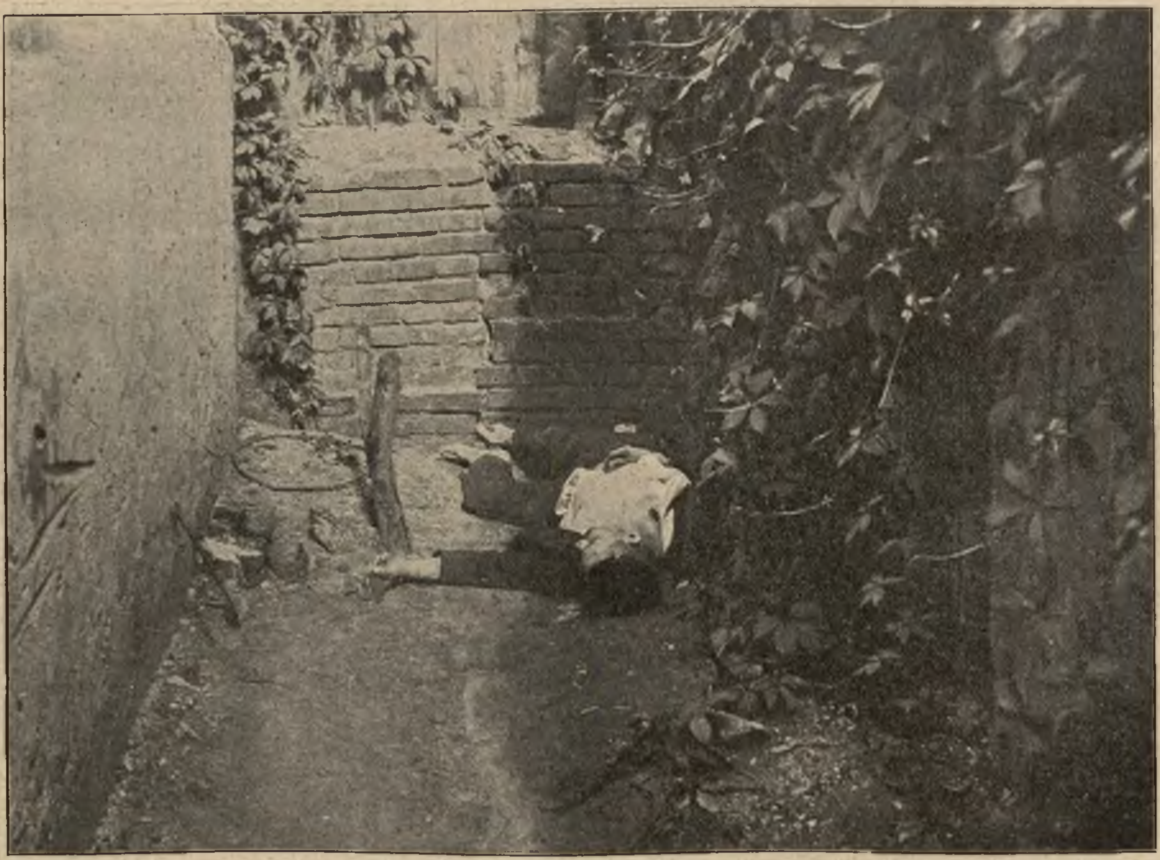
Nowy arcybiskup wiedeński.

Okrzyk: *le roi est mort, vive le roi!*, powtarzany przy śmierci każdego z królów francuskich, da się zastosować do zgonu każdego z dostojników. Z chwilą, kiedy przeczytamy wiadomość o śmierci któregoś z nich, zastanawiamy się zaraz, kto też będzie jego następcą.

Tą kwestyą zajmują się obecnie Wiedeńczycy, którzy w ubiegłym tygodniu utracili swego arcy-



Bandytyzm we Lwowie: Ciężko przez bandytów raniony Oryszczak.



Bandytyzm we Lwowie: Zwłoki zamordowanego stróża J. Bieniasza na miejscu wypadku. (Fot. M. Münz, Lwów).

biskupa, ś. p. kardynała księdza Gruschę, z tą jednak różnicą, iż w tym wypadku odpadają wszelkie domysły, kto obejmie agendy po nieboszczyku, gdyż już za jego życia zamianowano dlań koadjutora *cum jure successionis*, to jest zapewniono, że po zgonie arcybiskupa *ipso facto* on zasiędzie na osieroconym tronie arcybiskupim.

Ksiądz dr. Franciszek Nagl, obecny arcybiskup nominat wiedeński, jest podobnie jak i jego poprzednik rodowitym Wiedeńczykiem. Urodził się w roku 1855 dnia 26 listopada, a w r. 1878 otrzymał we Wiedniu święcenia kapłańskie. Posuwając się sto-



Nowy arcybiskup wiedeński: Następca ś. p. kardynała Gruschy, ks. biskup dr. Franciszek Ksawery Nagel.

sunkowo szybko po szczeblach hierarchii duchownej, w r. 1902 zamianowany został biskupem tryesteńskim, na którem to stanowisku okazał wiele energii, poświęcenia i wyrozumiałości — zyskał też sobie wkrótce uznanie władz przełożonych i sympatyę dyecezyan.

Gdy w roku 1909 zawakowało po ustąpieniu dra Marschalla stanowisko biskupa koadjutora (sufragana) we Wiedniu, powołano na nie dra Nagla, który nie bez żalu żegnał się ze swą owczarnią, wiedząc, iż na nowym posterunku czeka go ciężka praca i daleko większa odpowiedzialność.

W ostatnich czasach ś. p. kardynał Gruscha z powodu podeszłego wieku i niemocy, nie zajmował się prawie zupełnie sprawami dyecezyi, rządy jej niepodzielnie złożono w ręce energicznego pomocnika, który w stosunkowo krótkim czasie wykazał, że dorósł w zupełności do nowego stanowiska i we Wiedniu zdobył sobie ogólną sympatyę i uznanie, a było to dość utrudnione z powodu zbiegu okoliczności, w których nastąpiła nominacya.

Po intronizacyi, która zapewne nastąpi niezadługo, nowy arcybiskup wstąpi także do Izby panów i Sejmu dolnoaustryackiego.

Sejm strażacki.

Ochotnicze straże pożarne cieszą się w społeczeństwie naszem ogólną sympatyą. Instytucyom tym bowiem przyświecają w ich działalności prawdziwie humanitarne, prawdziwie szlachetne cele, mianowicie ochrona mienia i życia ludzkiego przed rozszalałą pożogą. Hasło to zasługuje na tem gorętszą pochwałę, iż nie zna żadnych ubocznych względów, iż strażak idzie na walkę z groźnym żywiołem bez względu na to, jakiej narodowości, jakiego wyznania i z jakiej klasy społecznej pochodzi dotknięty katastrofą, idzie śmiało, niejednokrotnie narażając swe zdrowie a nawet życie.

Z szczerem zadowoleniem zaznaczyć należy, że idea pożarnictwa coraz szersze wśród nas zatacza kręgi i jedna coraz nowych zwolenników. Świeżym dowodem tego rozwoju organizacyi ochotniczych straży pożarnych był zjazd ich delegatów, odbyty w ostatnich dniach lipca w Stanisławowie.

Ogółem przybyło na zjazd strażacki około 300 osób, między temi naczelnik krajowego Związku dyrektor Alfred Zgórski, sekretarz Związku Antoni Szczerbowski i wielu naczelników okręgowych; z Krakowa uczestniczył w obradach zjazdu pułkownik straży p. Fenz.

Obrady plenarne toczyły się w wielkiej sali „Sokoła“ stanisławowskiego. Na uroczyste inauguracyjne posiedzenie przybyli reprezentanci stanisławowskiej rady miejskiej, starosta radca dworu Pro-



Sejm strażacki: Uczestnicy zjazdu ochotniczych straży pożarnych w Stanisławowie; 1. naczelnik związku dyr. dr. A... 5. odznaczony za 40-letnią działalnoś...

kopczyc, marszałek powiatu Stanisław Cieński, przedstawiciele „Floryanki“, „Sokoła“ i t. d.

Po przemówieniach powitalnych, przystąpiono do porządku dziennego, uchwalono więc zmianę statutów, przyjęto do wiadomości sprawozdanie rady zawiadowczej Związku i udzielono jej absolutoryum z rachunków, poczem wybrano szereg komisyi.

Przez dwa dalsze dni zjazdu obradowano również pracowicie, jużto w komisyach, jużto na zebraniach plenarnych, a owocem obrad jest długi szereg uchwalonych wniosków i rezolucyi, przeważnie doniosłych dla dalszego rozwoju straży.

Poza tem odbyła się podczas zjazdu uroczystość wręczenia honorowego dyplomu zasłużonemu pułkownikowi ochotniczej straży pożarnej krakowskiej p. Wilhelmowi Fenzowi, za 40 letnią nieprzerwaną działalność strażacką, a honorowej odznaki p. Feliksowi Kwaśniewskiemu ze Stanisławowa.

Na ostatniem posiedzeniu dokonano wyboru naczelnictwa Związku. Naczelnikiem wybrano ponownie dr. Alfreda Zgórskiego, zastępcą radcę J. Wierzejskiego.

Po uchwaleniu wniosku, by następny zjazd straży odbył się w Samborze, zamknął dr. Zgórski obrady i podziękował wszystkim tym, którzy się przyczynili się do wspaniałego wyniku zjazdu.

Z rewolucyi na Haiti.

Jak już w poprzednim numerze obszernie donieśliśmy, wyspa Haiti jest znowu w okresie rewolucyi. Rewolucye są tam wogóle chorobą chroniczną, niemal nigdy nie wygasającą, wskutek czego też kraj ten, choć przez przyrodę we wszelkie bogactwa sowicie wyposażony, nie może się należycie rozwinąć, nie może dojść ani do bogactw ekonomicznych ani do znaczenia politycznego.

Obecna rewolucya zwraca się przeciw prezydentowi Simonowi, który dopiero niedawno objął tę godność, wytrąciwszy ją z rąk swego poprzednika Nord-Aleksisa.

Zdawało się, że rządy generała Simona, który miał za sobą w czasie walki z Nord-Aleksisem ogromną większość mieszkańców wyspy, upłyną spokojnie i że są zabezpieczone na dłuższy czas przed wszelkimi zamachami, że więc w tym czasie kraj odetchnie po krwawych, bratobójczych walkach. Tymczasem nadzieje te zawiodły, bo zawiodły zdolności Simona, a w każdym razie jego popularność. Nowi kandydaci na fotel prezydencki wnet się znaleźli i umieli skupić wokoło swego sztandaru bardzo poważne zastępy ludności.



Z rewolucyi na Haiti: Oddział wojska republikańskiego.

Jeśli jednak nawet rewolucya osiągnie zwycięstwo, jeśli generał Simon upadnie, to i następca jego nie długo niewątpliwie utrzyma się na jego stanowisku. Bo tych kandydatów jest dwu: Firmin i Leconte. Ten, który zwycięży, będzie miał przeciw sobie nietylko zrzuconego prezydenta Simona, lecz i drugiego obecnego kontrkandydata.

Oczywista rzecz, że największe szanse w czasie walk o godność prezydenta ma zawsze ten kandydat, który potrafi ująć sobie armię republikańską. Armia to nieliczna co prawda i nie uzbrojona należycie, mimo to w razie starć ma przewagę nad cywilnymi zwolennikami innej partyi. — Z okazyi ostatnich zajść na Haiti zamieszczamy dziś podobiznę prezydenta Simona w otoczeniu jego sztabu, oraz zdjęcie, przedstawiające oddział żołnierzy republikańskich.

Pożar lasów w Tyrolu.

Ostatnie upały, które tak dały się we znaki całemu prawie światu, nie wyłączając i naszego kraju, w niektórych okolicach były przyczyną katastrof, a w następstwie milionowych szkód.

Tak było naprzykład w Tyrolu, gdzie z małego lokalnego pożaru, który nawiedził dolinę Francensfeste, wywiązała się skutkiem niekorzystnego wiatru olbrzymia pożoga. Szalejący żywioł z nadzwyczajną szybkością objął ogromne przestrzenie lasu. Od chwili wybuchu w dniu 5 sierpnia, w porze popołudniowej, przez dziewięćdziesiąt godzin pracowano z nadludzkim wysiłkiem, zanim zjednoczonym usiłowaniom okolicznych straży ogniowych i wojska, udało się go bodaj częściowo opanować. Ofiarą ognia padło 490 hektarów lasu.



Zgórski; 2. zast. naczelnika rejent Bahr; 3 zast naczelnika radca J. Wierzejski; 4 sekretarz związku A. Szczerbowski; ażacką pułkownik W. Fenz z Krakowa.



Przesilenie na naczelnych stanowiskach w armii: Następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand.

Ponieważ pożar szerzył się bardzo szybko i zagrażał samemu nawet miastu, rozpoczęto natychmiast akcyę ratunkową, na czele której stanął nadkomisarz leśny z Sterzing, Rauch. Zarekwirowano kompanię wojska, która wraz z oddziałami straży pożarnej zajęła się sypaniem wałów, oraz wyrębem nieobjętych jeszcze przez płomienie terenów leśnych, aby w ten sposób przeszkodzić szerzeniu się ognia. Mimo to jednak akcya ta pozostała po części bez skutku, gdyż wiatr roznosił całe snopy iskier, tworzących coraz to nowe ogniska pożaru. Najcięższe zadanie mieli ratujący wioskę Oberau, gdzie z wieży kościelnej musiano sikawkami zlewać dachy domów,

pokrytych słomą, aby je w ten sposób uchronić od zajęcia się. Po wytężającej kilkogodzinnej pracy, udało się Oberau zabezpieczyć przed pożarem, okoliczne lasy padły wszystkie ofiarą płomieni.

Tłumy ludności, które przyglądały się akcyi ratunkowej, zagrożone zostały także pożarem, tak że wojsko i żandarmerya musiały ją spędzić na bezpieczniejsze miejsce.

W nocy począł padać drobny deszcz, który jednak nie mógł skutecznie przeciwdziałać pożarowi, wiatr natomiast z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy. Wobec tego akcya ratunkowa wojska i straży pożarnej ograniczyć się musiała tylko do przerwania pożaru, mowy natomiast nie mogło być o gaszeniu płonących ognisk.

W dniu 6 sierpnia udało się wreszcie pożar o tyle zlokalizować, że nie posuwał się już poza teren leśnych łańcuchów górskich a miejscowościom Franzensfeste i Bozen przestało grozić bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Biorące udział w ratowaniu oddziały wojsk, wskutek pracy połączonej z niesłychanym trudem i wysiłkiem, uległy takiemu zmęczeniu, iż musiano je kilkakrotnie luzować i zastępować innymi. Szczególniej niebezpiecznemi i utrudniającemi akcyę ratunkową były rozpalone lawiny kamieni, spadające ustawicznie z gór.

Szkoda, wyrządzona pożarem, przenosi dwa miliony koron.



Z rewulucyi na Haiti: Prezydent Haiti, generał Simon, w otoczeniu swego sztabu.

Przesilenie na naczelnych stanowiskach w armii.

Przesilenia we wspólnem ministeryum wojny wydarzają się w Austro Węgrzech stosunkowo dość rzadko, zwłaszcza w porównaniu z nieustannemi, tak częstemi zmianami na fotelach ministeryalnych „cywilnych". Obecny austryacko węgierski wspólny minister wojny bar. Schönaich dzierży portfel swój, niewątpliwie bardzo ważny i odpowiedzialny, już od r. 1906 bez przerwy. W czasie urzędowania jego pojawiały się wprawdzie często pogłoski o mającem nastąpić jego ustąpieniu i to z rozmaitych powodów, zawsze jednak okazywały się potem te pogłoski nieuzasadnionemi a stanowisko ministra Schönaicha jako stale silne i pewne.

Dopiero teraz zaszły wypadki, które podobno doprowadzą do przesilenia w tem ministerstwie a nadto do innych poważnych zmian na najwyższych stanowiskach w armii. Prócz bar. Schönaicha bowiem, ustąpić ma także szef sztabu generalnego Conrad von Hötzendorf i podobno nawet obie dymisye stoją ze sobą w związku, gdyż między tymi dygnitarzami wyłoniły się bardzo znaczne różnice zapatrywań.



Przesilenie na naczelnych stanowiskach w armii: Austryacko-węgierski minister wojny Schönaich, który ma w najbliższym czasie ustąpić.

W szczególności opowiadają w kołach dobrze poinformowanych, że dymisya ministra wojny jest następstwem nieporozumień między nim a następ ą tronu arcyks. Franciszkiem Ferdynandem, który równocześnie okazywał duże względy szefowi sztabu generalnego v. Hötzendorfowi.

Faktycznie jednak zarówno sam fakt dymisyi, jak przyczyny jej należą dziś jeszcze do zakresu pogłosek.



Przesilenie na naczelnych stanowiskach w armii: Szef sztabu generalnego, generał Conrad v. Hötzendorf, mający ze swego stanowiska ustąpić.



Pożar lasów w Tyrolu: Część palących się lasów w okolicy Franzensfeste.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

4 Powieść.

— Jaką była treść tej umowy?

— Pan komisarz chyba rozumie, że szczegółowej osnowy znać nie mogę... wiem jednak, że paragraf główny opiewał, iż doktor zapisuje swojej żonie wszystko co posiada, bez żadnych warunków i wyłączeń.

— Czy pani jest tego pewną?

— Najpewniejszą! Pan Manescault miał siostrę, wdowę z dwoma synami, wcale niezamożną, więc ona, gdy układało się jego małżeństwo, wpadła tu i wyprawiła mu straszną awanturę. Wyrzucała bratu, że postępuje nieuczciwie, wydziedziczając swoich siostrzeńców na korzyść osoby obcej. Powiedziała, że mógłby zaczekać, aż sam będzie mieć dzieci, a przynajmniej, że powinien poznać lepiej swoją przyszłą żonę, że na donacyę będzie mieć dosyć czasu i później...

— Pomimo to jednakże pani Manescault odniosła zwycięstwo?

— Tak, panie komisarzu.

— Wiedziała zatem, że w razie śmierci męża odziedziczy po nim cały majątek?

— Pan Marceli wiedział o tem przedewszystkiem.

— Co pani przez to rozumie?

— To, że niecierpliwie czekał na jak najśpieszniejsze objęcie sukcesyi w posiadanie... Gdy pani narzekała czasem na męża starego, niemiłego i zazdrosnego, on odpowiadał nie raz jeden, lecz może sto razy: „Cierpliwości! szwagier pewnego dnia kłapnie, a nam się dostanie cały jego okrągły trzosik".

— Tak się wyrażał?

— Może nie koniecznie temi samemi słowami, lecz myśl ich była taka sama.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść! — powiedział Guillaume.

W rozwartych podwojach ukazała się blada twarz Marcelego Robertin.

— Panie komisarzu, chciałbym poufnie powiedzieć mu coś bardzo ważnego.

Komisarz dał znak obu kobietom, żeby się oddaliły.

— Proszę odejść. Nie omieszkam je wezwać, jeśli tego potrzebować będę.

Widocznie jednak nagle zmienił zdanie, bo zatrzymał klucznicę.

— Jeszcze słówko, pani Honorato... Panie Robertin, chciej zaczekać chwilkę.

Zaledwie za Marcelim i Bertą drzwi się zamknęły, Guillaume zwrócił się do starej kobiety.

— Czem jest doktor Jintot w istocie? Nie mówiłaś mi o nim wcale.

Fizyognomia klucznicy rozjaśniła się wyrazem dobrodusznej pobłażliwości.

— Wcale dobry chłopiec!... Niezbyt szczęśliwy w życiu, lecz filozoficznie pogodzony z losem.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Że przyzwoicie zachowywał się na swojem stanowisku i sumiennie zajmował tem tylko, co odnosiło się do jego obowiązków. Co zaś do mojej osoby, śmiało powiedzieć mogę, że był dla mnie zawsze bardzo grzeczny. Zresztą, jeśli pan komisarz chce mieć o nim szczegółowe informacye, to proszę zwrócić się o nie do naczelnego dozorcy w zakładzie.

— Mikołaja Sempuis, o ile mi się zdaje?

— Tak się zowie istotnie. Był prawą ręką dyrektora. Zapewniam, że posiadał jego zupełne zaufanie... Doktor Manescault zwierzał się przed nim ze swoich planów i zamiarów, a kiedy niekiedy zasięgał jego rady. Mikołaj wie napewno wszystko, co się odnosi do doktora Jintot, a poinformuje pana bardzo chętnie, bo chociaż jest z usposobienia milczkiem ponurym, lecz służył niegdyś w wojsku, więc wie, co się komu należy. Z przyjemnością udzieli panu komisarzowi wszelkich wyjaśnień...

— Powiedz mu pani, żeby czekał na moje wezwanie. Rozmówię się z nim po odprawieniu pana Robertin.

Klucznica wyszła, a Guillaume poprosił do siebie Marcelego, który krokiem gorączkowym przechadzał się w sąsiednim pokoju.

Młody człowiek, zaledwie zamknął drzwi za sobą, przystąpił żywo do komisarza i z widocznem wzruszeniem w drżącym głosie zawołał:

— Pragnę zakomunikować panu to, co moja biedna siostra wyznała mi przed chwilą!... Gdy ją pan badał, tak była przejęta wzruszeniem i trwogą, że nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, kłamała. Gdy mi to oświadczyła, powiedziałem jej, że licząc na pańską dobroć i dyskrecyę, powinna zeznać panu całą prawdę.

Guillaume słuchał go obojętnie.

— O co idzie?

— Oto... siostra moja powiedziała, że dziś rano ja pierwszy przyniosłem jej wiadomość o śmierci męża... Odpowiedź ta była niezupełnie ścisła i dokładna...

— Czy tak?

— Biedna Julia lękała się powiedzieć prawdę, mogącą przynieść jej ujmę w oczach pańskich...

— A to w jaki sposób?

Młody człowiek otarł pot, perlący się na jego czole i mówił dalej:

— Pozwól mi pan wprzódy zwrócić swoją uwagę na kilka faktów z przeszłości... Cztery lata temu zmarł nasz ojciec... Miałem wówczas lat piętnaście a ośmnaście moja siostra. Pozostaliśmy, pozbawieni wszelkich środków utrzymania, na łasce ubogiej ciotki, która, aby nas ubrać i wyżywić, ograniczyła swoje potrzeby i wydatki do najskromniejszego minimum... Doktor Manescault leczył mego ojca i zakochał się w Julce. Oświadczył się o jej rękę, a ona zgodziła się go poślubić, chociaż młodej dziewczynie nie mógł się podobać, był bowiem znacznie od niej starszy i wcale nie urodziwy. Nie wchodzę w szczegóły jej cierpień, mogę tylko panu zapewnić, że w pożyciu małżeńskiem z doktorem czuła się bardzo nieszczęśliwą... Oboje płaciliśmy mu drogo za chleb nam udzielony... Miałem kolegę, którego kochałem jak brata... Niebacznie dopuściłem, że często zaczął się widywać z moją siostrą... Pokochali się... Lecz przysięgam panu, że w sposób zupełnie niewinny. Julia jest czystą i nieskalaną... Pozostałaby nią zawsze, pomimo miłości dla Ludwika. Szwagier zabronił przyjacielowi memu bywać w swoim domu. Wtedy, niestety, Julka popełniła nieostrożność, widując się z nim wieczorami pokryjomu. I w fatalną noc uciekła, w której doktor Manescault śmierć poniósł... siostra moja i mój przyjaciel spotkali się w kiosku, położonym w głębi parku...

Guillaume mruknął zupełnie obojętnie:

— A!... a!...

— Mieli się rozejść około północy. Mijając Pawilon bzów, usłyszeli tam krzyk rozdzierający, bolesny... Zbliżywszy się, ujrzeli przed progiem szaletu broczące krwią ciało... Poznali w niem doktora Manescault...

Westchnął głęboko i zatrzymał się, czekając choćby na jedno słówko z ust komisarza, ale komisarz milczał. Więc młody człowiek ciągnął dalej swoje opowiadanie głosem, który w miarę jak mówił, łamał się często i słabł coraz bardziej, zmieniając ciągle intonacye, pod wpływem dławiącego go wzruszenia.

— Próbowali nieść pomoc... lecz przekonali się niezwłocznie, że ratunek był już niemożliwy. Wtedy siostra moja chciała pobiec do zakładu i zawiadomić o nieszczęściu... Ludwik jednak sprzeciwił się temu, przedstawiając jej bezcelowość i niebezpieczeństwo, na jakie narazi się tym krokiem... wyznając bowiem, że znajdowała się z młodym człowiekiem w parku o nocnej porze, wywoła skandal... Siostra usłuchała jego rady i powróciła do domu na pół martwa... Dziś rano milczała jeszcze o tem wszystkiem i dopiero, wyszedłszy stąd, wyznała całą prawdę. Doradziłem jej nie kłamać dalej i powierzyć swój honor pańskiej dyskrecyi i delikatności. Gotowa jest zaraz wobec pana powtórzyć wszystko, co opowiedziałem w tej chwili.

Guillaume podniósł nagle głowę, utkwił bystry wzrok w oczach młodzieńca i rzekł:

— Nie uważam powtórzenia za rzecz potrzebną, wiedziałem bowiem, że pani Manescault i jej... przyjaciel, znajdowali się o północy przy trupie doktora... oraz, że nie byli sami...

Wygłosił ostatnie wyrazy z silnym naciskiem, bo przypuszczał, że Robertin towarzyszył zakochanej parze, chciał zaś dowiedzieć się o tem z jego ust własnych, pewny, że zdradzić go musi wzruszenie.

Marceli zbladł i zmieszał się bardzo. Wyraz jego twarzy upewnił komisarza w przekonaniu, że brat Julii jest istotnie winowajcą.

— Ach! więc pan wiedział! — wyjąkał młody człowiek zdumiony.

Poczem szepnął pełnym rozpaczy głosem:

— Widocznie służba szpiegowała i wypaplała... Ależ to klęska prawdziwa...

Guillaume przerwał:

— Mniejsza o to!

To mówiąc podszedł do drzwi, które otworzył. Mikołaj Sempuis czekał już za niemi w przedpokoju.

— Wejdź stary! — rzekł do dozorcy.

A zwróciwszy się do Marcelego, powiedział rozkazującym tonem:

— Proszę nas pozostawić! Za chwilę pomówimy z sobą w obecności siostry pańskiej.

Marceli wyszedł zgnębiony. Guillaume siadł przy biurku doktora i oparłszy się na niem, zamyślił się głęboko. Po niejakimś czasie podniósł zwieszoną na piersi głowę i przyglądał się dozorcy, który stał przed nim wyprostowany w postawie wojskowej.

Był to klasyczny typ starego żołnierza. Rysy twarzy miał wyraziste, jakby grubo nożem wyciosane, twardy wąs siwy, a na policzkach skórę smagłą, zbrużdżoną głębokiemi zmarszczkami. Wysoki, kształtnie zbudowany i suchy, zdawał się posiadać niezwykłą siłę fizyczną. Odzież jego składała się z niebieskich płóciennych spodni i z rodzaju bluzy z ciemnego sukna o kołnierzu i rękawach obramowanych krasnemi wypustkami. Głowę pokrywał szafirowym kaszkietem z opaską czerwoną. Zrzucał go tylko w nocy, gdy kładł się spać, cały zaś dzień nie zdejmował nigdy i nie uchylał przed nikim.

Guillaume przerwał pierwszy milczenie.

— Wszakże już dawno służysz pan w zakładzie i o ile wiem, posiadałeś zawsze zaufanie doktora Manescault?

Mikołaj skinął głową.

— Tak było w rzeczy samej — rzekł z prostotą.

— Jak dawno wszedł doktor Jintot do zakładu?

— Dokładnie mówiąc sześć miesięcy temu.

— Nie więcej?

— Nie więcej. Dawniej był tu lekarz, który umarł na suchoty.

— Czy przed powołaniem na asystenta znany był dyrektorowi?

— Niezupełnie. Polecił go jeden z przyjaciół pana Manescaulta.

— Czy przed wstąpieniem do zakładu praktykował w Paryżu?

— Nie. Był lekarzem na okręcie. Podróżował podobno po morzach pięć czy sześć lat, więc tego wędrownego życia miał dosyć. Zresztą, jak słyszałem, popadł w nieporozumienie z zarządem przewozowego towarzystwa... Słowem, ucieszył się bardzo otrzymawszy tu posadę...

— Czy pan Manescault był z niego zadowolony?

— Względnie tak. Doktor Jintot spełniał sumiennie swoje obowiązki... lecz nie był sympatyczny panu dyrektorowi.

— A to z jakiego powodu?

Mikołaj machnął ręką.

— Pan wie, że tego rodzaju uczucia wytłómaczyć się nie dadzą.

— Lecz koniec końców nie żywili do siebie nienawiści?

— Nie!... Gdyby doktor Manescault nienawidził asystenta, albo dostrzegł w nim dla siebie nienawiść, oddaliłby go natychmiast.

— Nie kłócili się więc nigdy?

— Nigdy!

— Czy przyjazne stosunki łączyły doktora Jintot z rodziną dyrektora, zwłaszcza z panią Manescault i jej bratem?

— Wcale nie. Widywali się codziennie przy stole, a doktor grywał niekiedy z panem Marcelim w bilard, albo palił z nim razem cygara, bliższych jednak stosunków między nimi nie zauważyłem. Co zaś do pani samej, wątpię, aby więcej niż trzy razy rozmawiała z lekarzem asystentem na osobności.

— Na jakich warunkach pozostawał on tutaj?

— Nie były jasno i ściśle określone. Objął posadę poniekąd w charakterze próby. W końcu roku, jeśli obie strony uznają się za wzajemnie z siebie zadowolone, miał być podpisany kontrakt na trzy lata.

— Czy w ustnej umowie nie przewidziano szczególnego jakiegoś wynagrodzenia w razie śmierci doktora Manescaulta?

— O czemś podobnem nie było mowy.

— Więc obecnie, po zgonie dyrektora, doktor Jintot niema najmniejszej pewności, że nie postrada posady?

— Ma się rozumieć!... Zwłaszcza, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zakład będzie sprzedany, bo ani pani, ani pan Marceli kierować nim nie potrafią.

— Czy wiesz, panie Mikołaju, że doktorowa ma odziedziczyć cały majątek po mężu?

Dozorca milczał czas jakiś.

— Tak, panie komisarzu, wiem o tem! — odpowiedział wreszcie tonem poważnym.

Guillaume pomyślał:

— Człowiek ten ma widocznie własne pojęcie o zbrodni, nie wygada się z niem jednak za nic w świecie!

Poczem nagle zapytał Mikołaja:

— Czy pani Lucas zasługuje na zaufanie? Jaka to kobieta?

Dozorca zmarszczył brwi i szepnął z odcieniem pogardy w głosie:

— Ba! może i niezła... ale tylko kobieta... co znaczy, że jest gadatliwa i wścibia nos tam, gdzie go wścibiać nie należy!

Guillaume uśmiechnął się i rzekł tonem żartobliwym:

— Masz pan, widzę, niedobre mniemanie o kobietach, a przecież jesteś żonaty.

Ponura twarz Sempuisa zasępiła się jeszcze bardziej.

— Tak, jestem żonaty... i nie ukrywam wcale, że kocham moją żonę... lecz prędzejbym tą oto pięścią rozbił jej głowę, niżbym pozwolił, aby z podobnemi do siebie paplała o rzeczach, które obchodzić jej nie powinny... Siedzi w domu, nie wdaje się z nikim w gawędy, pilnuje garnków... i tak jest najlepiej!

— Powiedz mi, proszę... wszakże ostatnie wypadki i pana poniekąd dotyczą... Zmiana właściciela wywołuje zwykle zmianę personalu służbowego...

Mikołaj machnął ręką obojętnie.

— Przedewszystkiem nowonabywca dobrze namyśli się, zanim się rozłączy z takim jak ja człowiekiem, bo w zakładzie do naszego podobnym, potrzeba ludzi doświadczonych i praktycznych... Zresztą nie wiele dbam o przypodobanie się przyszłemu właścicielowi... Pracując lat tyle, oszczędziłem mały kapitalik, więc mogę gdzieś daleko stąd kupić kawałek gruntu i sadzić na niem kapustę. Już nawet od pewnego czasu myślę o tem. Okolice Paryża nie są właściwie odpowiednie do mieszkania z kobietą...

— Zwłaszcza — dodał komisarz — gdy jest młoda i ładna.

Oczy Mikołaja zapłonęły ogniem zazdrości.

— Ma pan zupełną słuszność, panie komisarzu.

Urzędnik zastanowił się chwilkę, poczem powrócił do treści swoich badań.

— Więc koniec końców doktor Jintot jest nowicyuszem w waszym domu i nie posiada w nim ściślejszych stosunków. Przedtem, jak mi pan powiedziałeś, szukał chleba w towarzystwach przewozowych... Ale, ale, czy dyrektor cenił go jako lekarza?

Sempuis poruszył niechętnie głową.

— Ani trochę! Zresztą, wszakże tutejsza posada jest bądź co bądź drugorzędna, a doktor Jintot nie ubiegałby się o nią prawdopodobnie, gdyby nie ułomność, która w każdym zawodzie i na każdem stanowisku musi wpływać ujemnie na jego losy.

— Jaka ułomność?

Mikołaj, jakby z żalem wyszeptał:

— Upija się niekiedy... eterem.

— A!... Czy pije nad miarę?

— Kto przywyknie do tej trucizny, używa jej zwykle nad miarę.

Guillaume zastanowił się, poczem zadał nowe pytanie:

— Czy znałeś pan chorego z Pawilonu bzów?

— Bardzo mało... Nie wchodził w zakres mojej służby. Dopiero dziś rano dowiedziałem się, jak się zowie. Lecz doktor mógłby pana poinformować w tym względzie, bo to on umieścił go w zakładzie.

— Czy tak?

— Tak. Poznali się podobno na okręcie, w ciągu dłuższej jakiejś podróży morskiej i korespondowali z sobą.

— Czy powrócił już człowiek, który usługiwał panu Laborda?

— Maurycy Berthaut?... Nie! Telegrafował, że interes, w którym go wysłano, nie przyszedł do skutku. W ostatniej chwili rodzina postanowiła zatrzymać chorego pod własną opieką. Berthaut przyjedzie dziś wieczorem.

— To dobrze. Rozmówię się z nim, gdy powróci. A tymczasem przyślij mi pan tu doktora Jintot.

Lecz w tej chwili wszedł do pokoju lokaj, oznajmiając o przybyciu dwóch wyższych urzędników sądowych: podprokuratora Mauduit i sędziego śledczego Deverrier.

Guillaume powstał z krzesła niezadowolony i markotny, mrucząc do siebie pocichu:

— Już?... Jacy gorliwi!

Widocznie żałował, że tak prędko złożyć musi w ręce przełożonych sprawę, zajmującą go bardzo tłem ciemnem i tajemniczem. Pomimo to, jako człowiek spełniający zawsze poprawnie swoje obowiązki, udał się naprzeciw przybyłych, aby im złożyć ustny raport z badań dotychczasowych.

Deverrier, mały i krępy, był bardzo ruchliwy. W kołach koleżeńskich uchodził za płytkiego warchoła. Nie bez trudu stroił się w udaną powagę, spokój i godność, jakich urząd jego wymagał. Oczy pana sędziego śledczego, chociaż szybko przenosiły się z przedmiotu na przedmiot, nie zatrzymywały się jednak czas dłuższy na twarzy oskarżonego, aby głębiej sięgającym wzrokiem wniknąć w tajemniczą otchłań duszy ludzkiej. Z widocznem roztargnieniem słuchał opowiadania komisarza.

— Dobrze! dobrze! Rozumiem; przecież to skacze w oczy! Mąż pozbawiony życia przez chciwość... żona wspólniczka zbrodni... brat i jego przyjaciel głównymi aktorami dramatu... Sprawa interesująca, lecz sądzę, że nie będzie wlec się długo... Ludzie ci przyznają się do winy już przy drugiej indagacyi. Wszakże pan ma ubranie krwią zbroczone i sztylet, którym mord został dokonany?... Wybornie!... Powiadasz, że młodzieniec znajduje się gdzieś blisko? Każ go poszukać natychmiast i tu dostawić... Badać będę wszystkich obwinionych razem...



Po niejakim czasie podniósł zwieszoną głowę i przyglądał się dozorcy.

— Przepraszam! — rzekł Guillaume osłupiały. — Nie chciałbym, aby pan sędzia uważał trop, który ośmieliłem się mu wskazać, za bezwzględnie pewny. Nie miałem czasu sprawdzić, czy...

W pół zdania przerwał Deverrier:

— Tak, tak! ma się rozumieć... Ja znam dobrze moje rzemiosło, panie komisarzu policyi!

Teraz podprokurator go zapytał:

— Czy pani Manescault jest osobą młodą?

— Tak, panie prokuratorze.

— Czy ładna?

— Niczego.

— A!.. to dobrze!

Deverrier przyskoczył do nich i rzekł zwracając się do komisarza:

— Chciej nam pan wskazać miejsce, w którem popełniono zbrodnię, oraz trupy obu zamordowanych.

Poczem sądownicy, przeprowadzeni do pawilonu przez komisarza, rozpoczęli śledztwo na własną rękę.

ROZDZIAŁ III.

Niespodziewany sprzymierzeniec.

Do pokoju, w którym sędzia śledczy Deverrier zainstalował się w celu przeprowadzenia szczegółowej indagacyi, wprowadził jeden z agentów Julię Manescault i jej brata. Na widok bladego i zdrętwiałego Ludwika, stojącego przed sędzią, a którego nie spodziewała się zastać tutaj w takiem towarzystwie, cofnęła się mimowoli w tył, przejęta strasznym lękiem.

— Pan tutaj? — wyjąkała, chwiejąc się na nogach i trzęsąc jak w febrze całem ciałem.

Deverrier spojrzał na nią z wielkiem zajęciem.

— Niech pani raczy usiąść... Nie! nie na tem krześle... O tu, na fotelu, przy mnie...

Marcelemu zaś żwawym ruchem ręki wskazał dalej nieco stojące krzesełko.

Na czole brata Julii osiadła chmura niepokoju. Przenikliwszy od swojej nieszczęśliwej siostry, rozumiał łatwo, że podejrzenia — przynajmniej chwilowo — zwrócą się obecnie przeciw nim trojgu, chociaż fakt, którego świadkami byli Julia i Marsol, przedstawił komisarzowi szczerze, w całej jego groźnej prostocie i brutalnej prawdzie.

Sędzia zaczął badać młodą kobietę w sposób sobie właściwy, to jest szybko, nagle i bez związku. Sposób ten mógł się niekiedy cieszyć pomyślnym skutkiem, oszałamiał bowiem i zahukiwał tych, przeciw którym się zwracał, pozbawiając nieraz winowajcę pewności siebie i hartu woli.

— Czy przyznajesz pani, że wczoraj około północy byłaś w parku wraz z obecnym tu panem Ludwikiem Marsol?

— Tak, panie — odpowiedziała Julia ledwie dosłyszeć się dającym szeptem, czuła się bowiem srodze zawstydzona koniecznością przyznania się do nocnej schadzki.

— W jakim celu byliście państwo w miejscu tak bardzo od domu odległem, o tak późnej godzinie?

Blada twarz Julii oblała się krasnym rumieńcem. Z wysiłkiem wymówiła:

— Postąpiłam niebacznie, zgadzając się na przyjmowanie pokryjomu naszego przyjaciela, gdy mój mąż zabronił mu bywać u nas jawnie.

— Jeśli chodziło o zwykłą schadzkę miłosną, to nie rozumiem, dlaczego udaliście się na miejsce, w którem popełniono zbrodnię?

— Pan Marsol miał odejść... odprowadziłam go więc do furtki, od której dałam mu klucz dawniej.

— Dziwnem mi się jednak wydaje, że pomimo chęci ukrycia się przed okiem ludzkiem, zbliżyliście się państwo do szaletu, o którym wiedzieliście oboje, że jest zamieszkany.

Julia, coraz bardziej zmieszana, milczała. Więc przemówił Ludwik:

— Nie mieliśmy czego lękać się o tej porze... Widzieliśmy, że równie chorzy jak i ich dozorcy udają się wcześnie na spoczynek. Zresztą zachowywaliśmy się cicho; szliśmy po trawniku, a zbliżając się do szaletu przestaliśmy rozmawiać...

Deverrier potrząsnął głową z niecierpliwością i rzekł do Ludwika oschłym tonem:

— Indaguję obecnie panią Manescault, chciej więc przemawiać dopiero wtedy, gdy zwrócę się do pana z zapytaniem. Jeśli nie zastosujesz się do mego życzenia, zmuszony będę prosić pana, abyś wyszedł.

I obróciwszy się do Julii ciągnął dalej:

— Dlaczego, obawiając się przedewszystkiem, aby nie przydybano pani na kompromitującej schadzce, gdy posłyszałaś wrzawę, dochodzącą cię z szaletu, nie oddaliłaś się czemprędzej?

— Rozległ się jęk, który nas przeraził... Pan Marsol poskoczył, rozumiał bowiem, że należy nieść pomoc osobie umierającej... Niezmiernie prędko poznaliśmy w rannym mego męża, a krzyk, który doleciał uszu naszych, był jego ostatnim krzykiem...

— Czy weszliście państwo do szaletu?

— Nie.

— Czy słyszeliście, że ktoś w nim chodzi... a może i woła?

— Nic nie słyszeliśmy. W szalecie zapanowała cisza zupełna.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O muzeum w Rapperswilu: Widok zamku rapperswilskiego.

O muzeum w Rapperswilu.

Przez szereg dni społeczeństwo polskie z niepokojem oczekiwało sprawozdań z toczących się w Rapperswilu obrad i dochodzeń w sprawie zarzutów, i to zarzutów bardzo ciężkich, podniesionych przeciw zarządowi muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu przez grono poważnych osobistości, znanych i cenionych literatów i pisarzów.

Wiadomości i sprawozdań stamtąd oczekiwano z niepokojem, bo jeśliby zarzuty w broszurach i pismach publicznie podniesione okazały się prawdziwymi, to istotnie szkoda byłaby niepowetowana, że straż i pieczę nad muzeum powierzono w ręce niepowołane, w ręce — co gorsza — nieuczciwe. Bo kustosz muzeum, sędziwy weteran Rużycki de Rosenwerth, spotkał się nawet z zarzutem nieuczciwości.

A muzeum rapperswilskie, to rzecz całemu narodowi, każdemu sercu polskiemu niezmiernie miła i droga. Założone przed 30 laty przeszło z inicyatywy i dzięki ofiarności zacnego obywatela patryoty hr. Władysława Bröel Platera, miało na celu gromadzić w prastarych murach zamku hrabiów „na Rapperswylu“ pamiątki i świadectwa narodowej naszej tężyzny, walk o niepodległość, które porozpraszane na obczyźnie, zaniedbane, mogły łatwo przepaść a przechowane w muzeum świadczyłyby na wieki o kulturze naszej, o naszej sile żywotnej. W ciągu lat istnienia muzeum rapperswilskiego znalazły tam pomieszczenie wszelkie pamiątki, dotyczące naszego życia porozbiorowego, zwłaszcza i przedewszystkiem na emigracyi, dalej wspaniała, bogata biblioteka, zawierająca wiele cennych dzieł bądź polskich autorów, bądź treścią odnoszących się do Polski, galerya obrazów, rzeźby i t. p. Stało się dzięki temu muzeum rapperswilskie instytucyą bardzo poważną i dla życia narodowego naszego potrzebną.

I oto w ostatnich czasach pojawiły się z wielu stron bardzo głośne ataki przeciw tym, którzy sprawami muzeum kierują, w szczególności przeciw kustoszowi Rużyckiemu. Stefan Zeromski, dr. Sokolnicki, dyr. Kopera, b. bibliotekarz Karczewski, redaktor Z. Wasilewski, p. Kłyszewski, Szpotański i inni, wystąpili publicznie z mnóstwem bądź drobniejszych, bądź bardzo ciężkich oskarżeń.

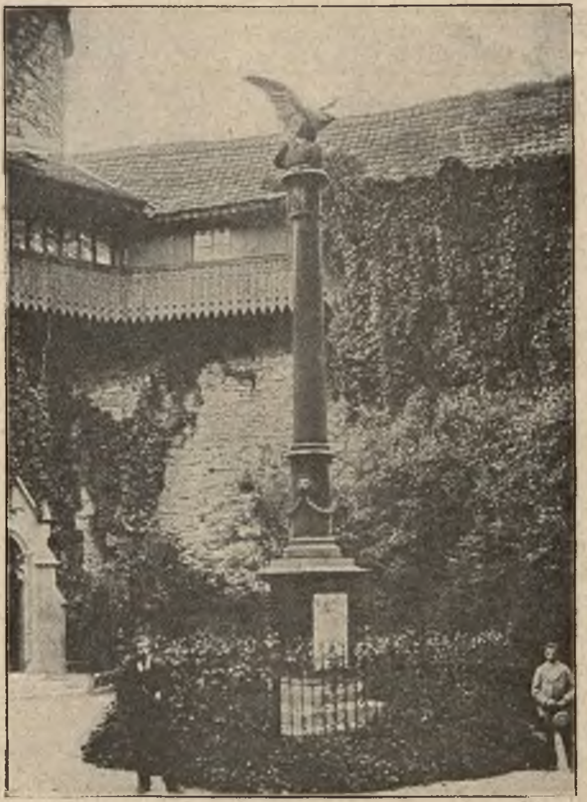
Celem rozpatrzenia i zbadania tych zarzutów zwołano do Rapperswilu szereg ludzi poważnych, fachowych, a z sumienności znanych, którzy mieli wysłuchać oskarżeń a następnie stwierdzić, o ile one są uzasadnione. I po kilku dniach żmudnej pracy, po szeregu posiedzeń komisya owa wygotowała sprawozdanie, z którego wynika, iż zarzuty prawie wszystkie, zwłaszcza poważniejszej natury, były bezpodstawne, były wprost z prawdą niezgodne. Opozycyoniści nie potrafili na poparcie tych zarzutów dostarczyć żadnych zgoła dowodów, natomiast zarząd muzeum przekonał wszystkich, iż zawiadywał powierzonymi sobie skarbami zupełnie sumiennie, choć czasem zdradzał brak umiejętności, brak fachowej wiedzy. Co gorsza jednak. Archiwaryusz dr. Czołowski ze Lwowa wpadł na ślad bardzo brzydkiego postępku jednego z głównych opozycyonistów, dra Sokolnickiego. Oto tenże dr. Sokolnicki wybrał sobie w ostatnich miesiącach z biblioteki rapperswilskiej około 5 000 tomów dzieł od XVI. wieku i dzieła te, jako rzekome dublety, zakupił ryczałtowo za kwotę 500 fr. Nie zdołał ich jednak wszystkich dotychczas wytransportować, a dr. Czołowski znalazł w jednej z pak „dubletów“, także bardzo cenne unikaty, jak egzemplarz kroniki Stryjkowskiego z r. 1582 i wiele innych, a wartość tej jednej rozpakowanej skrzyni przenosiła wedle pobieżnego obliczenia kwotę, zapłaconą przez p. Sokolnickiego za wszystkie 5.000 tomów. Rewelacye dra Czołowskiego, które stanowiły smutną sensacyę, skompromitowały do reszty opozycyonistów. Stanowi to satysfakcyę pewnego rodzaju dla atakowanego zarządu, w szczególności dla sędziwego a około muzeum bardzo zasłużonego kustosza p. Rużyckiego. Ze wszystkich zarzutów, jakie podniesiono, uznała komisya jedynie ten, że organizacya zarządu wymaga pewnej zmiany. W tym celu powołano też grono ludzi, którzy mają ułożyć nowy statut.

Rezultat głośnej sprawy o muzeum raperswilskie powita społeczeństwo z wielkiem zadowoleniem. Smutne to bardzo, iż znaleźli się ludzie, którzy bez dowodów potrafili szkalować zasłużonych obywateli, ale smutniejszeby było, gdyby się okazało, iż w muzeum panują niesłychane nieporządki, że zbiory tam nagromadzone niszczą ludzie nieuczciwi.

A tak — na szczęście — nie jest.

* *

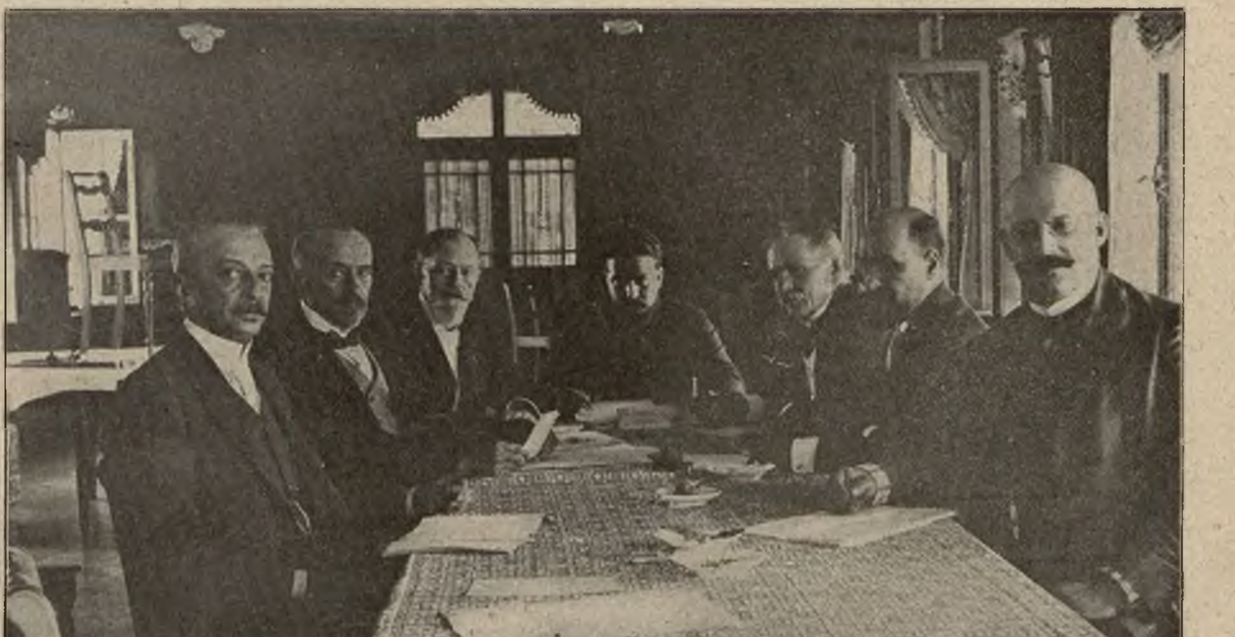
Z okazyi sprawy tej zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg interesujących zdjęć z muzeum rapperswilskiego oraz z obrad komisyi.



O muzeum w Rapperswilu: Kolumna barska w Rapperswilu.



O muzeum w Rapperswilu: Członkowie rady muzealnej; od lewej ku prawej: wiceprezydent dr. Rutowski ze Lwowa, poseł dr. E. Bandrowski z Krakowa, prezes dr. Gałęzowski z Paryża, członkowie rady Eug. Korytko i dr. Z. Balicki.



O muzeum w Rapperswilu: Komisya sprawdzająca zarzuty; od lewej ku prawej: prof. dr. A. Sokołowski, przewodniczący mecenas Libicki z Warszawy, prof. Laskowski, sekretarz prof. dr. Stroński, mecenas dr. L Tarnawski, mecenas dr. T. Dwernicki i archiwaryusz m. Lwowa dr. Czołowski.

Kronika tygodniowa.

Przepraszam bardzo, ale powrócę jeszcze na chwilę do ostatnich wyborów. Skłania mnie do tego bardzo mądry artykuł *Zarzewia*, czasopisma młodzieży polskiej. Pomijam ogólny pogląd autora na wybory ze stanowiska narodowego, lubo i w tym poglądzie są wcale słuszne i rozsądne uwagi, ale przytaczam ustęp, tyczący się udziału młodzieży w agitacyi wyborczej. „Nasze partye polityczne — pisze *Zarzewie* — i ich menerzy popełniają w tym względzie pospolitą zbrodnię, szukając głównego kontyngentu dla swych kadr agitacyjnych w pierwszym rzędzie pośród młodzieży akademickiej, którą, używając jej za narzędzie do brudnych walk wyborczych, w ohydny sposób wykorzystują (zapewne: wyzyskują przyp. kronikarza). Poważna część winy spada tu na samą młodzież, na przewódców jej ideowych grup, które mają pretensye do poczucia swej odrębności od partyi starszego społeczeństwa. Skoro jednak nadejdą upały wyborcze, wtedy ci, którzy w „czasie pokojowym" najbardziej od podwórek partyjnych się odżegnywali, idą posłusznie w szeregi płatnych czy ideowych agitatorów, osłaniając się conajwyżej frazesem o interesie narodowym lub inną złudą".

Powyższa opinia o udziale młodzieży w walkach wyborczych ma tę wartość, że wypowiada ją organ młodzieży i to tego jej odłamu, który pieści przedewszystkiem ideały narodowe. Dobrze, że ta właśnie młodzież zwróciła uwagę na jedną więcej ujemną stronę niezdrowej agitacyi wyborczej. Należy jednak, czego *Zarzewie* dostatecznie nie czyni, odróżnić młodzież, która dla idei (jakakolwiek by ona była) zapisuje się w szeregi agitatorów, od tej, która czyni to za zapłatę, traktuje sprawę, jako źródło dochodów, wynajmując się. Bardzo źle czynią ci, co młodzież wogóle do agitacyi wciągają, ale wprost zbrodni dopuszczają się ci, co zamieniają młodzież w płatne hyeny wyborcze. Tu zarówno i ta młodzież jak i jej „chlebodawcy" zasługują na potępienie. Co wyrośnie z tych jednostek, które już za młodu sprzedają swoje sumienie?

Zbrodnią nie zbrodnią, ale bądź co bądź brzydactwem okazuje się gwałtowna nagonka na Rapperswil. Czytelnicy zechcą może sobie przypomniec, jak w przeciwstawieniu do całej prasy, kronikarz *Nowości* nie przyłączył się do potępienia w czambuł Rady nadzorczej muzeum rapperswilskiego i kustosza tegoż muzeum p. Rużyckiego. Kronikarza uderzyła namiętność, z jaką rzucano się na owego kustosza i ową Radę. Opowiadano niestychane rzeczy o gospodarce rapperswilskiej i dlatego też, że były one „niesłychane", budziła się wątpliwość u ludzi trzeźwego rozsądku, czy w całej tej sprawie niema przesady i pewnego osobistego podkładu. Z tego powodu, jeżeli wspominałem coś na tem miejscu o Rapperswilu, to z wyraźnem zastrzeżeniem się: jeżeli to prawda... podobno... jak mówią... jeżeli to się sprawdzi. A nawet uznałem za stosowne wprost stanąć w obronie Rady nadzorczej przed najazdem nieproszonych prokuratorów. Napisałem, że prawnie tylko rada nadzorcza może decydować w tej sprawie, a jeżeli jest rzeczywiście źle, „to opinia powinna użyć swego wpływu, na to, aby owa Rada zaprosiła wybitne jednostki do rozpatrzenia z nią wspólnie czynionych gospodarce muzealnej zarzutów. Kto pójdzie, dodawałem, do Rapperswilu nieproszony, ten powinien pamiętać o przysłowiu: Kogo nie proszą, tego za drzwi wynoszą".

I pokazuje się, że nie zawiódł mnie mój... nos kronikarski. Z tego, co nam przynoszą korespondencye i telegramy, można już mniej więcej wyrobić sobie opinię bardzo zbliżoną do prawdy. Pierwsze wiadomości donosiły o niezwykłej „namiętności", z jaką przemawiają oskarżyciele, o „złem wrażeniu" jakie wywołały słowa dra Kopery, o brutalnem zachowaniu się niektórych „nieproszonych" względem ludzi tak poważnych i zasłużonych, jak czcigodny prezes Gałęzowski, lub uczony tej miary co prof. Laskowski, pierwszorzędna europejska powaga naukowa. A jednocześnie czytaliśmy memoryał Rady nadzorczej, obalający zarzut za zarzutem, czytaliśmy i obronę muzeum pióra dra Rutowskiego, drukowaną w „Sztuce", a wykazującą cały szereg „omyłek", jakiemi oskarżyciele operowali. Z tego też artykułu zarysowała się przed nami sylwetka kustosza Rużyckiego, może maniaka i dziwaka, ale oddanego z zaparciem się stróżowaniu zbiorów rapperswilskich, ba! dobrodzieja muzeum, bo nietylko służył mu wiernie za śmiesznie małe wynagrodzenie, ale je wzbogacił własnymi nader cennymi zbiorami i przedmio tami za własne pieniądze nabywanymi.

A dalsze wiadomości znów zaznaczały zbyt wieki „temperament" jego oskarżycieli i podkopywały wiarygodność ich zeznań.

Nie zniszczono materyałów Chodźki, ani owej „maszyny" do rachowania Baranowskiego, nie strzelał Różycki do elzewirów (nawiasem mówiąc sam je nabywał), sztychy Oleszczyńskiego nie leżały nigdy na strychu, akwarela Gierymskiego nie była zalepiona litografią, a gdyby nawet była, to mógł z nią Rużycki robić, co mu się podobało, gdyż jest jego prywatną własnością. Ba! wyszła na jaw sprawa, w dziwnem świetle przedstawiająca jednego z najgwałtowniejszych oskarżycieli, p. Sokolnickiego. Ow miłośnik zbiorów rapperswilskich nabył od byłego bibliotekarza muzeum, dziś również opozycyonisty, p. Karczewskiego, 30 skrzyń dubletów bibliotecznych (około 5000 tomów) za ...— no, za ile wam się zdaje, szanowni czytelnicy? Może za 10, a choćby za 8, a wreszcie 5 tysięcy franków? — o'nie! — pan Sokolnicki dał za nie 500 franków, a taki poważny znawca, jak dr. Czołowski, ocenił wartość j e d n e j z tych 30 skrzyń na 500 franków. Zaskoczony wykryciem tego szczegółu p. Sokolnicki oświadczył gotowość oddania tych tak „przystępnie" nabytych dubletów, ale to ani prawdziwości, ani „piękności" samego faktu nie zmienia. Telegram też donosi, że p. Żeromski, autor „Dziejów grzechu" oświadczył, iż jest szczęśliwy, że zarzut jego co do zniszczenia materyałów Chodźki jest nieuzasadniony. Ba! wolno mu czuć się szczęśliwym, ale czy to może „grzech" przez niego popełniony? Czy wolno na podstawie bajki, nie przekonawszy się, publicznie ogłaszać nieprawdę, krzywdzącą dobrą sławę bliźniego?

Do tej chwili, kiedy to piszę, nie skończyły się jeszcze badania „śledczej" komisyi rapperswilskiej. Może być, że ta komisya wytknie Radzie nadzorczej i p. Rużyckiemu jakie nieporządki lub niewłaściwości (czy jest instytucya, którejby żadnego zarzutu uczynić nie było można?), ale już z tego, co wiemy, widać wyraźnie, jak z muchy zrobiono słonia, ile w tej całej sprawie było namiętności, a nawet prywaty. Bo mimowoli nasuwa się podejrzenie, że oprócz ludzi, którzy z dobrą wiarą, niestety nieraz zbyt lekkomyślnie, wnosili oskarżenia, byli i tacy, którym chodziło nietyle o dobro muzeum, co o zmianę jego zarządu, o wzięcie tej instytucyi we własne zasłużone dłonie. Czyż nawet wyraźnie nie wołano: precz z Gałęzowskim, precz z Rużyckim! Oskarżano nawet Radę nadzorczą o grę na giełdzie finansami muzeum, bo... bo gotówkę muzealną umieszczano w walorach notowanych na giełdzie, co p. Sokolnicki uważa za... grę na giełdzie. A że wogóle takiej, a nie innej taktyki do sanacyi Muzeum, to jest do „zdyskredytowania i uniemożliwienia Rady" użyto, tłómaczył to p. Szpotański... rozpaczą!

Z całej tej „hecy", dla stwierdzenia maksymy, że niema nic złego, coby na dobre nie wyszło, wypłynął jednak ten rezultat moralny, że opinia zajęła się Rapperswilem, że może w ślad za tem nietylko będą usunięte pewne jego braki, ale może społeczeństwo poczuje się do obowiązku serdeczniejszej, nietylko moralnej ale i materyalnej opieki nad tym poważnym naszym posterunkiem zagranicą. Należy mieć nadzieję, że nie kilku setkami, ale choć kilkunastu tysiącami koron rocznie zasili kraj skromne nad wyraz fundusze muzealne. Wówczas będzie przynajmniej miał większe prawo krytykować gospodarkę zarządu i domagać się przyznania mu większego wpływu na losy i kierunek Muzeum.

Na razie korzyść z afery rapperswilskiej odniosło nasze dziennikarstwo, które po przejściu upałów i załagodzeniu sprawy marokkańskiej, znalazło coś, na szczęście, czem mogło zainteresować swoich czytelników. I kronikarz *Nowości*, mimo morałów, jakich udzielił zacietrzewionym antirapperswilczykom, czuje dla nich pewne obowiązki wdzięczności, bo z próżnego nie nalejesz, a dzienniki dostarczające mate ryału do kroniki, podczas lata zazwyczaj bywają bardzo... próżne.

Z „rozpaczy" wynajdują one o tej porze rozmaite „piły", któremi karmią czytelników. W roku bieżącym taką piłą są „loty okrężne", „tygodnie lotnicze" i inne popisy awiatyczne, z których sprawozdania podaje się codziennie aż do znudzenia. Przesuwa się przed naszemi oczami cały szereg nazwisk amatorów skręcenia karku; dowiadujemy się jak daleko, który z nich pływał po powietrzu, lub jak wysoko się wznosił, gdzie odpoczywał, gdzie wylądował i jaką otrzymał nagrodę. Ze sprawy poważnej, odkrywającej nowe horyzonty dla pracy geniuszowi ludzkiemu, zrobiono sport, zabawkę, źródło zarobku dla... ryzykantów i fabrykantów. Prócz nielicznej garstki, która usiłuje zdobyć powietrze dla celów naukowych i praktycznych, pojawiają się całe zastępy aferzystów, narażających życie dla zdobycia złota. Setki ofiar pochłonęła już awiatyka, a nigdzie nie widać usiłowań ze strony rządów, aby ograniczyć ten niebezpieczny sport, bawiący tłumy żądnej „wzruszeń" gawiedzi, a sprowadzić rzecz na właściwe tory. Inicyatywa do tego nie wyjdzie oczywiście ze strony dziennikarstwa, które każdą namiętność sportową tylko podsyca, aby bawić niewybrednych czytelników i... urozmaicić swą rubrykę wypadków.

Z braku tematu dzienniki poświęcają całe łamy takim „aktualnym" sprawom, jak „Początki klaki teatralnej" (cztery wielkie artykuły) lub takim „nowościom", jak zbiór zdań staropolskich, zaczynających się od „Dukat to mi kwitek...", co już chyba każdy umie na pamięć. W ostatnich dniach obiegły całe dziennikarstwo przepisy hygieniczne, tyczące się utrzymania ciała w świeżości. A przepisy te podała do wiadomości nielada powaga lekarska, bo głośna z piękności „artystka" Lina Cavalieri. Oczywiście pani ta nic nowego nie wymyśliła — powtarza to, co jej lekarze doradzali. A więc niewiele jeść, mięsa „czarnego" mało używać, od alkoholów wstrzymywać się, zachowywać spokój umysłu, spożywać pomarańcze, figi, daktyle, winogrona, spać niewiele, zwłaszcza w wieku późniejszym i t. d. Wszystkie te przepisy po sto razy słyszeliśmy, zanim je Lina Cavalieri wydała, ale dopiero jej autorytet wpłynął na „przedstawicieli opinii", że głoszą *urbi et orbi*, jak się mamy zachowywać, abyśmy byli wiecznie młodzi, póki się nie zestarzejemy.

W przepisach panny czy pani Liny niema, niestety, nic o tem, czy i jak wiele można się całować... oczywiście w stanie małżeńskim. Brakowi temu postanowiła zaradzić Amerykа z powodu procesu państwa Gambier, w którem to stadle płeć słabsza miała silne pretensye do płci silniejszej, że tylko dwa razy dziennie odbierała od niej pocałunek. Więc dzienniki amerykańskie ogłosiły ankietę na odpowiedź: do ilu całusów dziennie żona ma prawo, a nasze dzienniki wszech obozów *per longum et latum* podają wyniki tej ankiety. Odsyłamy do nich szanowne czytelniczki, aby dokładnie się poinformowały o swoich prawach. Choć z góry je przestrzegamy, że w sferze zapatrywań na tę sprawę niema jednomyślności, że są nawet damy, które całusy uważają za rzecz „głupią", a prezesowa sufrażystek oświadcza, że nigdy nie całowała mężczyzny w usta, że zamąż nie wyjdzie, bo nie chce mieć tego „dodatku" i że według niej mąż powinien żonę całować tylko w rękę „na znak hołdu złożonego istocie wyższej". Przypuszczam, że moje czytelniczki, mimo uznania dla swej wyższości, skrajnych zapatrywań tej panny prezesowej (pewnie stara i brzydka) podzielać nie zechcą. Brak w tej ankiecie jednak zdania „istot niższych", które bądź co bądź mają prawo głos swój rzucić na szalę. Ale zamiast ogłaszania ankiety między mężczyznami, coby może uczynić mi wypadało, sądzę, że trafię w ich myśl, wypowiadając zdanie, że mąż jest obowiązany do tylu pocałunków, ilu ich jego żona jest warta. Czasem jeden na dzień już za wiele, a czasem i sto bywa zaledwie spełnieniem obowiązku.

Tani sposób życia.

(Do illustracyi na str. 3).

Z bardzo sympatycznemi rewelacyami wystąpił lekarz z Kopenhagi, dr. Hindhede; w swoim „systemie odżywiania się“ zwalcza on teorye dra Voita o konieczności spożywania dużej względnie ilości białka i to pochodzenia zwierzęcego, propaguje zaś odżywianie potrawami lekko strawnemi, jak chlebem, masłem, ziemniakami, mlekiem, owocami, a tylko czasem i w niewielkich ilościach mięsem.

Zdaniem dra Hindhede'a tego rodzaju system po żywienia nietylko jest bardzo hygieniczny, nietylko odpowiada potrzebom organizmu ludzkiego, ale jest nadto niesłychanie tani, tak iż kosztem 30 a nawet 20 hal. można zaspokoić apetyt na cały dzień.

Rewelacye swe opiera lekarz z Kopenhagi na wieloletnich doświadczeniach, dokonywanych nietylko na innych, ale przedewszystkiem i na sobie. Na podstawie doświadczeń doszedł do konkluzyi, że człowiek, karmiący się wedle jego teoryi, a więc spożywający minimalną ilość mięsa, natomiast więcej chleba, tłuszczów roślinnych, ziemniaków, cukru, jarzyn, owoców i t. d., dalej nie jadający o pewnych porach dnia, lecz tylko wtedy, gdy czuje głód, nietylko nie ucierpi na zdrowiu, lecz przeciwnie, będzie się po pewnym czasie tego rodzaju dyety czuł zdrowszym, lżejszym, świeższym i będzie miał więcej ochoty do pracy.

Na poparcie swej tezy przytacza dr. Hindhede cały szereg przykładów, istotnie przekonywujących. Gdy się zaś zważy, iż nasz lud żyje z dawien dawna wedle teoryi dra Hinhede'a, nie wiedząc zresztą o niej, a jest zdrowy i silny, to tembardziej chce się temu wszystkiemu wierzyć.

Bardzo ważną zaś jest tu sprawa niesłychanej taniości tego rodzaju odżywiania się, jak je propaguje dr. Hindhede. Wobec dzisiejszych cen przeważnej ilości artykułów spożywczych, w szczególności mięsa oraz artykułów, zawierających tłuszcz i białko zwierzęce, może mieć system kopenhaskiego lekarza nietylko teoretyczne znaczenie i wartość.

Wspominając o tym sympatycznym z tego już względu systemie, zamieszczamy dziś podobiznę młodego pewnego człowieka, nazwiskiem Madsen, który żyje właśnie wedle wskazówek dr. Hindhede'a a iak wskazuje rycina — jest mężczyzną wcale dobrze a przedewszystkiem zdrowo wyglądającym.



O muzeum w Rapperswilu: Pokój broni w muzeum.



O muzeum w Rapperswilu: Wnętrze biblioteki w Rapperswilu

Olbrzymi strajk w Londynie.

(Do illustracyi na str. 3).

Stolicy Anglii Londynowi, bezpośrednio po okropnej pladze upałów, zagroziła klęska głodowa. Widmo głodu mogło być następstwem olbrzymiego strajku, który objął tysiące robotników portowych, tragarzy, woźniców i t. d.

Strajk ten nie był — zdaje się — wynikiem planowej organizacyi, ale raczej jakiegoś nieokreślonego pędu, a organizatorem jego ma być Tom Mann, wybitny działacz angielski.

Pod wpływem Manna i jego pomocników, zażądali robotnicy portowi wszelakich kategoryi znacznej podwyżki wynagrodzenia, gdy zaś ich żądania nie zostały uwzględnione, porzucili pracę. Liczba strajkujących wynosi kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

Pod względem ekonomicznym następstwa strajku okazały się już w pierwszych dniach fatalne. Mieszkańcom olbrzymiego miasta ukazało się widmo głodu. Żywność bowiem otrzymuje Londyn z bliższych i dalszych okolic, przeważnie drogą wodną, kiedy więc robotnicy, zajęci przenoszeniem towarów spożywczych ze statków do portu, a następnie rozwożeniem do miasta, wstrzymali się od pracy, zapasy żywności, istniejące w mieście, poczęły się gwałtownie zmniejszać i groziło ich zupełne wyczerpanie.

Jak zwykle przybyły pod Londyn setki okrętów z artykułami spożywczymi, których jednak nie ma kto wyładować i dostawić do sklepów. Z tego powodu ulega znaczna część towarów zepsuciu, a równocześnie w mieście wyczerpują się nagromadzone zapasy, a cena ich idzie szalenie w górę. Już w pierwszych dniach strajku podniosła się cena mięsa mrożonego na funcie o 25 do 30 halerzy.

Ponadto strajkujący dopuszczali się ekscesów, wskutek czego w wielu miejscach przyszło do krwawych zajść z policyą. Rząd próbował pośredniczyć między przedsiębiorcami i robotnikami, początkowo jednak pośrednictwo to nie przyniosło pożądanej ugody.

Tymczasem sytuacya w Londynie stała się istotnie groźną. Ulicami przeciągały tłumy robotników, pilnujących, by nikt pracy nie podjął, a w razie spostrzeżenia łamistrajków, przychodziło do awantur. Policya z trudem tylko mogła utrzymać porządek i uchronić pracujących przed napaściami.

W razie przeciągnięcia się bezrobocia, zamierzano powołać wojsko do pracy przy wyładowywaniu towarów ze statku. W przeciwnym bowiem razie groziła Londynowi niechybna klęska głodowa, zapasy bowiem żywności w szybkiem tempie się zmniejszały i brakło już mięsa, jarzyn i owoców, a także zapasy konserw mięsnych były na wyczerpaniu. Na szczęście w sobotę częściowo strajk załagodzono przez przyznanie robotnikom podwyżki płacy 25 proc. Wobec czego ci powrócili do pracy. Mimo to skutki kilkodniowego strajku dadzą się przez dłuższy jeszcze czas odczuć w mieście i ceny towarów nie prędko wrócą do normalnej wysokości, zwłaszcza że w niektórych okolicach strajk trwa dalej.

Kłopoty młodej republiki.

(Do illustracyi na str. 4).

Nie dobrze się dzieje w najmłodszej republice europejskiej, w Portugalii. Zdawało się, że wobec niesłychanie łatwego i gładkiego przeprowadzenia zmiany formy rządów, wodzowie republikańscy nie będą mieli kłopotu z uporządkowaniem stosunków i że ludność, która z taką radością powitała usunięcie dynastyi, podda się chętnie wszelkim zarządzeniom nowego rządu. Stało się atoli inaczej, a stało się z winy tych, którzy ujęli w swe ręce ster rządów. Ludzie ci nie dorośli do trudnego zadania, nie umieli ocenić sytuacyi politycznej w kraju i niestosownymi rozmaitymi krokami zniechęcili ludność do siebie, nie zyskali jej zaufania.

Stąd w kraju tym nieustanne zamieszki i niepokoje. Stronnictwo rojalistyczne, które w pierwszych dniach swej klęski przycichło zupełnie, poczęło następnie wykorzystywać błędy swych przeciwników i jednać dla swych poglądów coraz szersze koła zwolenników. Rozwój idei monarchicznej jeszcze pogorszył sytuacyę, bo do reszty wyprowadził z równowagi wodzów republikańskich, którzy bojąc się o swą całość, poczęli prześladować zwolenników stronnictwa rojalistycznego.

Błędy, popełniane przez rząd republikański, mszczą się teraz, gdyż wywołują ciągłe demonstracye rojalistów, którzy głośno zapowiadają rychły powrót króla Manuela II. na tron portugalski. Nieustanne te demonstracye przybierają nieraz bardzo ostry charakter i powodują interwencyę wojska. Tak było właśnie niedawno, gdy tłum demonstrantów urządził hałaśliwą manifestacyę przed gmachem parlamentu przeciw obradującej konstytuancie. Celem rozpędzenia tłumu wezwano policyę i wojsko, które nie mało miało trudu, zanim zdołało plac Luiz de Camoëns w Lizbonie oczyścić.

Scenę z tej demonstracyi przedstawia nasza rycina.



O muzeum w Rapperswilu: Grupa uczestników ostatniego zjazdu w Rapperswilu, z prof. Gasztowttem z Paryża w pośrodku 1. dr. Flach, 2. radca dr. J. Gertler z Krakowa.

Pożar hotelu.

Słynny, znany wśród turystów hotel londyński „Carlston" spłonął przed kilku dniami prawie doszczętnie, mimo nadludzkich wysiłków straży pożarnej. Ogień wybuchł w lifcie, prowadzącym do kuchni, a stamtąd rozszerzył się z błyskawiczną szybkością na całe piętro, następnie zaś na całą górną część budynku. Personal hotelowy i goście zdołali z trudem tylko uratować życie i to nie wszyscy, gdyż mieszkający tam chwilowo słynny aktor amerykański, Firmin, spalił się w swym pokoju, a zwłoki jego zwęglone znaleziono dopiero następnego dnia po ugaszeniu pożaru.

Ogień, który wskutek posuchy i upałów rozszerzał się coraz bardziej, zagrażał także pobliskiemu teatrowi, to też wysiłki straży skierowane były przedewszystkiem w kierunku uchronienia tego teatru, zwłaszcza że o ocaleniu hotelu nie mogło być mowy.

Jaka przyczyna spowodowała straszną katastrofę, na razie nie wiadomo, dochodzenia jednak zapewne przyczynę tę wykryją.



O muzeum w Rapperswilu: Grono dziennikarzy sprawozdawców pism polskich; od lewej ku prawej: redaktorzy Fr. Jaworski, A. Schröder, Śliwowski, Z. Fryling, A. Karcz („Nowa Reforma").

Barbakan w niebezpieczeństwie.

Jedną z najpiękniejszych i najcenniejszych pamiątek z dawnej przeszłości Krakowa jest znany pod popularną nazwą rondla, barbakan u wylotu ul. Floryańskiej, tuż za słynną, nie mniej dawną bramą tej nazwy.

Pochodzenie barbakana Floryańskiego sięga roku 1498. Podobnie jak cały szereg innych, służył on ku obronie miasta, obok murów i wałów. Z czasem, gdy stosunki się zmieniły, gdy najtęższe nawet mury nie mogłyby stanowić dostatecznej obrony przed kulami nowoczesnej artyleryi, zarówno mury jak baszty zostały zburzone. Z wszystkich tych części obwarowania Krakowa pozostała jedynie baszta i brama Floryańska, oraz piękny w stylu gotyckim wzniesiony barbakan obok tej bramy.

Mimo upływu wielu bardzo lat, mimo iż w ciągu burzliwych czasów był niejednokrotnie celem pocisków nieprzyjacielskich, zdołał utrzymać swą dawną postać i przetrwać całe wieki nienaruszony.

Przed laty łączył się on dwoma murami bezpośrednio z bramą Floryańską; otoczony był fosą, napełnioną wodą, przez którą wiódł doń most zwodzony.

Po zburzeniu obwałowań miejskich poprowadzono wokoło rondla ulicę, wskutek czego, a zwłaszcza wskutek założenia plant, widok tej części miasta zupełnie się zmienił.

Sam barbakan jednak zachował dawną postać. Z czerwonej cegły wzniesiony, ozdobiony jest siedmiu wieżyczkami ostrołukowemi. Budowa jego jest zgrabna, lekka, stylowa. Wewnątrz na wysokości piętra biegnie galerya, z której był dostęp do strzelnic w murach. Dolne otwory służyły za wylot dla armat. Ponadto mieszczą się wewnątrz okruchy dawnych budowli miejskich.

Jest to więc zabytek istotnie bardzo piękny i bardzo cenny, tem więcej, że poza krakowskim jest jeszcze tylko jeden taki barbakan na świecie, mianowicie w Hiszpanii.

Niestety słyszy się coraz częściej niepomyślne wiadomości o złym stanie tej budowy, o grożącej jej ruinie. Sądzimy, że zarząd muzeum narodowego w Krakowie, które ma powierzoną pieczę nad tym zabytkiem starodawnym, uczyni wszystko możliwie, aby uchronić barbakan przed grożącą mu zagładą, aby ocalić go przed ruiną.



O muzeum w Rapperswilu: Pokój Mickiewicza w muzeum.



Barbakan w niebezpieczeństwie: Barbakan czyli rondel przy bramie Floryańskiej w Krakowie.

Ze świata kobiecego.

Intenzywne, dławiące upały, u nas przynajmniej, można już uważać za minione, ustąpiły one miejsca znacznie łagodniejszej temperaturze, od czasu do czasu ochładzanej przelotnymi deszczami. Te deszcze niestety przywodzą na pamięć, że urok lata szybko się kończy, a smętek jesieni trwa znacznie dłużej i już jest niedaleki...

To też zwolna i świat elegancki, rozproszony po plażach morskich i wśród gór, poczyna wciągać w regestr swych strojów, obok lekkich toalet tu i owdzie niektóre nowe pomysły mody, trącące już cokolwiek jesienią i zapowiadające swe królowanie w przyszłym sezonie.



Suknia wieczorowa z czarnego atłasu.

Moda jesienna wszakże jeszcze dość długo się nie ustali, dopóki ci rozproszeni wszyscy nie powrócą do miast wielkich i nie zechcą z pośród przygotowujących się już teraz po wytwornych magazymach pomysłów wybrać najodpowiedniejsze dla ich gustu, dla ich usposobienia w danej chwili.

Ale oni nie powrócą tak prędko, długo jeszcze gonić będą uchodzące w dal lato, coraz dalej biec za ożywczym, gorącym promieniem słońca, coraz bardziej zapuszczać się na południe, dopóki nie przekonają się, że jak mówi poeta:

„Słońce złote się nie zastanowi...“

i zrezygnowani nie poddadzą konieczności powrotu.

Tymczasem moduluje się potroszę istniejące mody przepisy. Spódniczka kostyumów pozostała zawsze równie obcisłą i wąską, w dole wszakże otrzymała rozcięcie z imitacyą spięcia na guziczki, po jednym, przeważnie lewym, a częstokroć po obu bokach, roztwierające suknię i odsłaniające fałszywą spódnicę wewnętrzną, a właściwie podszytą u wewnętrznej strony poszerzającą ją falbaną. W miejsce tejże jednak usiłuje tak sromotnie na początku sezonu wygnana moda wschodnich, bufiastych spodni wejść ciasną tą furteczką cichaczem: jest spodniczka wąska, opięta — wszystko w porządku! — no, a że tam trochę na dole w miejsce wewnętrznej falbany wysunie się nóżka w haremowej „kiulotce“, to różnica jest tak nieznaczna, że ją można przeoczyć. Z tego widać, że panowie *couturriers* paryscy jeszcze się nie chcą uznać za pobitych na terenie tego emancypacyjnego pomysłu.

W sukniach strojnych natomiast przeważa tendencya draperyi; tuniki, zwłaszcza lekkie, powiewne na tle cięższych materyi, występują coraz częściej drapowane i podpięte jakimś motywem pasmanteryi, kokardą lub wreszcie — co stanowi największą nowość — bukietem staroświeckiego rodzaju kwiatów z jedwabiu, będących zabytkiem XVIII. w. i dopuszczanych teraz i wówczas jako ozdoba sukien wizytowych, głównie jedwabnych lub lekkich muślinowych, tiulowych, a nawet z prostego woalu, t. zw. *voile de nonne*, tego tak wybornie drapującego się lekkiego materyału. Kwiaty te zrobione są z jedwabiu w stylu *rococo*, ale jeszcze bardziej płaskie, z daleka robią wrażenie kokard lub rozet cieniowanych, środek mają jaśniejszy zazwyczaj, otaczające go i pokrywające niemal listki są w kilku odcieniach, ozdobione po brzegach często wąziutką obwódką koloru starego srebra.

Pąk takich róż lub jedną dużą pojedynczą przypina się u paska przy krzyżowaniu *fichu Marie Antoinette*, na zwykłych sukniach jedwabnych rozrzuca w odstępach takie bukieciki od niechcenia, nieregularnie cały ich wieniec umieszcza nieco poniżej paska na lekkiej spodnicy, takąż samą girlandą obrzeżając skrzyżowaną białą *fichu*. Ozdoba ta nadaje od razu pozór wielkiej elegancyi całkiem skromnej częstokroć toalecie.

Najpierwszy w rzędzie mód jesiennych wkracza do nas płaszczyk, tak potrzebny już wieczorami. Na plażach najwięcej na ten cel używanymi materyałami są moletony i t. zw. *vigogue double face*, nazywane także po prostu *doublé*, które już poczęły występować na wiosnę i będą niezmiernie używane w przyszłym sezonie. Najmodniejsze są w odcieniach: *pain brûlé i suède*, granatowym i *cardinal*, granatowym i zielonym *vert gazon*.

Przychodzę do objaśnienia dzisiejszych naszych rysunków. Rysunek 1 suknia recepcyjna i wieczorowa z czarnego atłasu, rozcięta z jednego boku na wewnętrznej spódnicy z takiegoż atłasu. Staniczek *fichu*, składający się z czarnych koronek i muślinu, oraz z białych koronek i jedwabnego muślinu na przemiany, zakończony kokardą z turkusowego aksamitu. Przy całej swej prostocie strój wysoce wytworny.

Tablica druga daje wzory: 2) sukni wizytowej z jedwabnego *serge* i wełny z czarno białą kratą, oraz 3) toalety na przyjęcia popołudniowe z *twillbeige*, przybranej koronką siateczkową.

Mora...



Suknia wizytowa z jedwabiu *serge* i wełny — Suknia, przeznaczona na przyjęcia popołudniowe.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Logogryf:

G
S a k
T y b e t
M i l r e i s
S z y c h
S e n
H a l k a
P a w
A z a
S a a l a
L a m p a r t
M a n d o l i n a
B e l l u n o
W i s ł a
T u r k u s y
P l a c T e a t r a l n y

Łamigłówka:

Kos
łza
nic
iwo
tak
udo
muł
kra
wór
rok
rak
aga
mak
osa
lew
ali
ewa

Zadanie do przestawienia: Co krewny, to pewny

Logogryf:

K
R o k
W a c i o
W i l h e l m
R a c ł a w i c e
E s e n c y a
W r o n a
E w a
s
O k o
Ś l i w a
K a r t a c z
K a t a r y n k a
L e l e w e l
W ę n u s
R y ś

Arytmogryf:

M
L a s
L a l k a
A c z
z
L e w
K a w k a
C z a s z k a
K r a k u s y
W a l i z k a

Zadanie do przestawienia: Lepsza łata niż dziura.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Poronin, F. Gebhardt Kraków, O Górkowa Chyrów, S. Ropski Warszawa, Z. Długołęcki Petersburg, J. Przeworski Lwów, S. Türk Kołomyja, J. Singer Tarnopol, H. Grabowski Jasło, F. Schmidt Wiedeń, J. Urban Lwów, B. Michalec Zakopane, T. Nikiel Nowy Sącz, J. Horak Tarnobrzeg, C. Wang Nisko, J. Engelberg Rzeszów, J. Rosenbaum Jasło, R. Knapik Kraków, J. Koneczyńska Brzeżanów, D. Sedyńska Zakopane, J. Jakubowska Kraków, S. Wiewiórowski Stanisławów, H. Wilczkiewicz Sambor, C. Lipiński Zakopane, J. Michalski Sambor, J. Bandrowski Częstochowa, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, J. Lipski Kraków, H. Bernstein Warszawa, J. Frankowicz Staszów, M. Wojkowski Tarnopol, I. Brzostowski Krosno, J Strojek Podgórze, K. Radoszewski Sanok, H. Górecka Zamość, Z. Radziński Rzeszów, M. Lewicka Kraków, A. Balicki Tarnopol, Z. Gliński Kołomyja, M Więckowska Piotrków, J. Świrski Sambor, F. Horak Oświęcim, M. Kwaśniewski Skierniewice, J Czarkowski Stryj, K. Michalski Jaworów, D. Łapiński Kraków, R. Dąbrowski Janów, J. Trepka Sandomierz, T. Mazaraki Piotrków, A. Siatka Kraków, K. Thun Warszawa, M. Popiel Rzeszów, H. Łopatyńska Lwów, K. Broda Drohobycz, A Serwatowska Warszawa, J. Zielińska Rzeszów, M. Czernecki Złoczów, K. Armatys Lwów, W. Dziedzic Kraków, A. Augustynowicz Kraków, S. Zaremba Kraków, K. Zerygiewicz Stanisławów, M. Gruszczyńska Sambor, J. Ryś Rzeszów, J. Stępień Budapeszt, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań, K. Wyka Tarnobrzeg, S Bukowski Kijów, H. Maciejowska Sandomierz, J. Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska. J. Obraczay Sanok, W. Radwański Zakopane, M. Trojacka Wiedeń, L. Sapecki Szczawnica, J. Karaś Zakopane, W. Urban Lwów, M. Kruszelnicka Tarnów, J. Sawliński Przemyśl, K. Ciszewski Radomyśl, S Dziurzyński Zakopane, M. Zięba Sanok, J. Łopatkiewicz Jasło, J Ostrowski Czerniowce, S Lindenbaum Stanisławów, F Jeziorski Krynica, S. Krzyżanowski Podgórze, M Sontag Piotrków, W. Laurecki Rzeszów, J. Lemiszewski Stanisławów, M. Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, K. Sadowska Skierniewice, J. Malinowska Winnica, R. Czechowicz Tarnów, J. Darowski Petersburg, M. Krokowski Warszawa, S. Kaniowski Tarnobrzeg, J. Leszczyński Sanok, S. Krogulski Warszawa, W. Lipowski Jasło, J. Wojciechowski Lwów, Z. Kisielewski Rzeszów, K. Armatowicz Petersburg, M. Glińska Stanisławów, Z. Potocka Kraków, H Gromnicka Lwów, J. Zachara Mielec, A. Bocsoń Bóbrka, M Arbesbauer Lwów, K Fuchs Czeremchów, K. Szumańska Rawa Ruska, K Ligęza Stanisławów, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, M. Ołeksiuk Holeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Michalski, Sambor.** Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Od Redakcyi.

Szanownych P. T. Czytelników nadsyłających rozwiązania upraszamy uprzejmie o wyraźne pismo, jak również o dokładne podawanie znaczeń poszczególnych słów, napisanie bowiem n. p. „Indyki“, zamiast „Saloniki“, świadczy, że odgadujący nie zadaje sobie trudu, ale pisze, co mu tylko się spodoba.

„HOTEL NARODOWY“

Kraków, ul. Poselska L. 22

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu.

Ceny pokoi przystępne wraz ze światłem i usługą.

Konrad Ściborowski

Kraków, Floryańska 13

obok firmy

(Skórczewski i Polakiewicz)

Magazyn nowości i strojów damskich poleca **wielki wybór bluzek, halek, szlafroczków, kostyumków, spodniczek, żabotów, boa strusich, kołnierzyków damskich, woalek, pasmanteryi, tiulów, gaz, torebek skórzanych i pompadurek** etc. etc., po cenach umiarkowanych.

Gotuj na zapas.



Oryginalne Weck'a naczynia szklane i aparaty do utrzymania wszystkiego świeżem, umożliwiają **naturalny sposób życia.** Przeszło 1,000.000 w użyciu! **Znaczna oszczędność** na czasie, pracy i kosztach (konserwy owocowe nakładać bez cukru).

Pojedyncze, solidne bez zarzutu

Zawsze gotowe obiady, pokarmy dla chorych i zaprawa mleczna dla dzieci.

Wyczerpujące objaśnienia przesyła bezpłatnie

J. Weck, Sp. z ogr. por.

Główny skład rozsyłkowy **Karol Müller**

M. Schönberg Nr. 160

Bardzo ważne dla Panów

Przy świeżym i przestarzałym wycieku okazały się niezrównane:

Dra Leras'a

Injekcye Palmyren à K 3·— Santal Palmyren à K 2·50.

Dr. J. L. w G. pisze nam:

Pańskie przetwory, zastosowane u moich pacyentów, są znakomite, zupełne wyleczenie nastąpiło w 7 dniach.

Do nabycia we wszystkich aptekach.

Proszę żądać wyraźnie **Dra Lerasa Palmyren.**

Kraków: Apteka Grabowskiego.
Lwów: Apteka pod srebr. orłem K. Dülla.
Przemyśl: Apteka M. Schwarza. „En gross“: W wielk. drogueryach.



NAJLEPSZE

PSY

wszystkich ras dostarczamy **bardzo tanio** na próbę!

Psy do polowania, zupełnie do każdej zwierzyny **wytresowane,** angielskie laveraki, spanioly, gordony, setery, angielskie pointery, niemieckie krótkowłosy, francuskie gryfony, braksiry **od kor. 150—350,** specyalne gat. po **kor. 500—800. Młode** 2—8 miesięczne po **kor. 50—95.**

Największe olbrzymy, najlepiej tresowane **stróże i obrońcy,** bernardyny, nowofundlandzkie, leonbergery, dogi, buldogi, wi ki, charty syberyjskie, ang., boksery etc. **od kor. 90—450, szczeniaki po kor. 50—80.**

Najmniejsze karzełki, pinczorki, ratlerki, mopsy, świeczliki **od kor. 50 do 250. Wszystkie inne rasy psów:** pinczery, pudle, szpice, foxterriery, jamniki **od kor. 40—190.**

Dostarcza solidnie wszystkim sferom polskim w Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i Królestwie z gwarancyą.

14 dni na próbę, z dostawą do domu.

NAJWIĘKSZY EKSPORT PSOW

„Flora Repora“ koło Pragi (Czechy).

Przy zapytaniach i zamówieniach próbnych prosimy **o dokładne** podanie **rasy, wieku, koloru, wielkości** i wymaganych przymiotów **danego psa,** jak również oznaczenie **najwyższej ceny,** jaką można ofiarować za psa wraz **z kosztami transportu.** Setki podziękowań z wszystkich ziem polskich za dostarczone psy **pierwszej jakości.**

Wspaniale illustrowane katalogi psów i **cennik** w polskim i niemieckim języku z 65 fotografiami wszelkich gatunków psów, prześlemy każdemu odbiorcy opłacony i polecony, za przesłaniem tylko 60 hal. w markach poczt.

Bieliznę męską białą i kolorową ze słynną marką



poleca Magazyn Nowości i Kapeluszy

A. Skórczewskiego i Polakiewicza

Kraków, ul. Floryańska l. 13.

Winogrona stołowe!

Bardzo słodkie! Najlepszej jakości! Znakomity gatunek! 5 klgr. o dużych gronach K 3·50, 5 klgr. znakomitych ber królewskich K 3·— dostarcza franko za zaliczką **Seidner Mor, Gyongyös n. 67** (Węgry).

Dla Panów

Artykuły Hygieniczne gumowe i rybie 12 sztuk sort. I jakości pod gwarancyą Kor. 3·— i 4·—

Przy odbiorze 3 tuzinów daję flakon perfum w dowolnym zapachu **gratis.** Wysyłki odwrotną pocztą uskuteczni a

L. Korzeniowski, Kraków, ul. Floryańska L. 22.

Radical-Katheter

przeciw **zapaleniu cewki moczowej i wypływowi** z najlepszym skutkiem w najkrótszym czasie działający. Użycie według Dra Cave. Zawsze pewny skutek. Sensacyjne! Sztuka K 6 za pobraniem. Cennik bezpłatnie. **Gummischlosser, Wiedeń IV.,** Schwarzenbergplatz 15|D.

Pierwszorzędna piekarnia maszynowa

„SPORT“

BOL. BROSZKIEWICZA

w Krakowie, ul. Szlak L. 43

(DOM WŁASNY).

Piekarnia urządzoną została według **najnowszych wymagań hygieny,** **znana z dobroci pieczywa.**

Nagrodzoną była na wystawach piekarskich medalami, złotymi i dyplomami w Wiedniu, Paryżu, Berlinie, Temeszwar i Warszawie.

FILIE: Sławkowska 3, Floryańska 3, Karmelicka 20, Szpitalna 21, Gertrudy vis a vis hotelu Royal (Misyonarze) Sebastyana 34, Św. Anny 4, Lubicz, hotel Europejski, Starowiślna 31, w Podgórzu Kalwaryjska 6.

Galic. Auto Garage

W. Ustyanowicz i Sp.

Kraków, ul. Smoleńska L. 31.

Telefonu Nr. 0107.

Adres telegr.: Ustyanowicz Smoleńska 31.

Naprawa automobili, motorów benzynowych, rekonstrukcye i odnawianie wozów.

Sprzedaż automobili nowych i używanych.

Garażowanie wozów, benzyna, oliwa, smary.

Warsztat największy w Galicyi zaopatrzony wszystkiemi najnowszemi i precyzyjnemi maszynami. Personal techniczny pierwszej jakości.

Niderlandzkie

Towarzystwo ubezpieczeń na życie.

Wiedeń I, Aspernplatz 1 we własnym pałacu.

Ubezpieczony kapitał około 380 milionów K.

Rezerwa premiowa około 113 milionów K

Bliższych wiadomości udziela

Generalna Agencya „Niderlandzkiego“ Tow. ubezpieczeń Kraków, ul. Lubicz 3.

Zastępców poszukuje się.

Gumowe i rybie

artykuły hygieniczne dla pań i panów oraz inne środki ochronne z powodu wielkiego zbytu niezależnie zawsze świeże poleca **taniej jak wszędzie**

Droguerya Z. Komorowskiego

w Krakowie, ul. Floryańska L. 33 róg ul. św. Marka.

Wysyłki na prowincyę **opłatnie nie licząc opakowania** dyskretnie po Kor. 5·—, 7·— i 10·— za tuzin.

Niema kurzu. **Niema robactwa.**

MATERACE

„Polonia“ są do nabycia we wszystkich większych składach mebli.

Niema kosztów naprawy, **Długoletnia gwarancya.**

Pierwsza galicyjska fabryka patentowanych sprężynowych materaców „Polonia“ sp. z z. odp. Podgórze.

Magazyn Krawiecki

M. Czaji i W. Rechowicza KRAKÓW Mikołajska L. 24.

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

PARYSKIE GADY.

70

— Wybierajcie dobrze! — rzekł nagle, gdy baronowa sięgała widelcem po nadziewanego indyka. — Wszystkie te potrawy są jednakowo dobrze przyrządzone... I wina są jednakowej dobroci... Lecz trzy czwarte każdej potrawy polane są tym samym płynem, którym wymyte zostały w środku nasze trzewiki w Hendaye... I indyczek i pulardka są przyprawione tą miksturką... a również i do wina dodano tego samego smaku...

Widelec wypadł z rąk baronowej. Maksym Duret odłożył swój.

Ewa z rozwartemi szeroko z przerażenia oczami spoglądała na Panajona, który ciągle był poważny. Ahmed i Tetard stali nieruchomo za krzesłem baronowej i prezesa, gotowi rzucić się na nich przy każdym podejrzanym ich ruchu.

— Przestrzegam was — mówił dalej złodziej — ponieważ w smaku nic nie poznacie... dopiero w kilka minut po zjedzeniu zaczniecie odczuwać straszne boleści, na które niema żadnego ratunku.

Nastąpiło milczenie, przerywane tylko chrupaniem indyka, którego jadł pan domu; Ewa nie tknęła niczego. Więźniowie siedzieli bezwładnie na swych krzesłach. Twarze ich wydłużyły się, policzki pozapadały głęboko. Błyszczące gorączkowo ich oczy zwrócone były na stół.

Panajon nalał sobie kieliszek starego bordeaux i wypił.

— Doskonałe! — rzekł. — Radzę spróbować!

Z piersi baronowej wyrwał się jęk. Ewa wzruszona tą sceną do głębi, zadrżała z przerażenia.

— Ale ty nie skażesz ich na śmierć głodową? — zawołała, składając błagalnie ręce.

— Dlaczego nie? — odpowiedział obojętnie złodziej. — Czy nie przypominasz sobie, jak Ludwika zniesławiona i wypędzona umierała z głodu, gdyś ty jej przyszła na pomoc? A zresztą mogą jeść! Ja im wcale nie przeszkadzam!

— Przebacz im! — prosiła litościwa praczka.

— Nie! Chyba że...

Panajon zamilkł. Potem zwrócił się do swych więźniów:

— Słuchajcie! Zaproszę was do swego stołu!... Żeby jednak zasłużyć na ten zaszczyt, musicie okazać skruchę... Zgadzacie się?

— Tak... — odpowiedziała szeptem baronowa.

Maksym Duret kiwnął potwierdzająco głową.

— Żałujecie, żeście zniesławili oboje Ludwikę Dubois? — ciągnął dalej Panajon. — Żeście chcieli ją porwać i zgubić?... Ty, Duret, żałujesz, żeś chciał nas otruć, Jacksona, Piotra Cartelegue'a, Smitha, Ewę i mnie?...

— Żałuję...

— Bardzo dobrze... Wiecie jednak, że *verba volant, scripta manent.* Słowa uciekają, pismo pozostaje. Nie mogę więc zadowolić się słowami. Napiszesz to, Duret, a potem podpiszesz razem ze swą siostrzenicą...

— Nigdy! — odparł prezes.

— Aha! chwaliłeś się, że nie mamy żadnych dowodów przeciw tobie, tylko swe własne skargi i chcesz dalej się chwalić? Dobrze! Rób jak chcesz, a zobaczymy, na co ci się to przyda!

I Panajon wypił nowy kieliszek wina.

— Widzisz sama — zwrócił się do Ewy — że szkoda twej litości. Wstań już, ponieważ widok tej pary odbiera ci apetyt i przejdź do jadalnego pokoju... znajdziesz tam na stole jeszcze jeden koszyk, który kazałem przygotować dla ciebie, przewidując to, co się stało.

Ewa raczej wybiegła niż wyszła z tego pokoju. Panajon jadł dalej. Przy deserze Duret, który do tej pory ani nie poruszył się, zwrócił się do złodzieja i rzekł głosem pełnym tłumionej wściekłości.

— Napiszę...

Był zwyciężony.

— I podpiszesz?

— Podpiszę...

Na konsoli leżał papier i atrament. Tetard podał je prezesowi. Pod dyktandem złodzieja napisał on najzupełniejsze przyznanie się do wszystkiego. Poczem podpisał je wraz z swą siostrzenicą. Panajon wziął ten cenny dokument, przeczytał go, złożył we czworo, schował do portfelu i rzekł:

— Dobrze! Teraz możecie jeść i pić!

Nędznicy wstali, by siąść przy stole złodzieja.

— Zostańcie tam! — powstrzymał ich. — Wszystko, co macie przed sobą jest doskonałe. Czyż naprawdę przypuszczaliście, bym się trudził zatruwaniem potraw?... Sami widzicie, że to byłoby zupełnie zbyteczne!

XXI.

W owej chwili, gdy w Chaville rozgrywała się ta tragiczna scena, Lewis Jackson spożywał tanie śniadanie w małej restauracyjce, położonej w pobliżu avenue Bois-de-Boulogne. Zjadł pośpiesznie podane sobie potrawy, zapłacił za nie franka dwadzieścia pięć centymów i wrócił pieszo do swego pałacu. Joe Smith oczekiwał go w gabinecie.

— Jest co nowego? — zapytał miliarder.

— Długa depesza z Nowego Yorku — odpowiedział sekretarz. — Zdaje się, że trust stalowy...

— Nic mnie on teraz nie obchodzi — przerwał businessman. — Pytam się, czy niema czego od Panajona?...

— Niema nic!

— Czy długo jeszcze każe mi na siebie czekać?

Smith milczał i opuścił jeszcze niżej głowę, który nie podnosił od chwili drugiej ucieczki Dureta. Lewis Jackson odwrócił się od niego i udał się do salonu, w którym pracowali bez przerwy trzej sławni portreciści. Na widok pana domu wstali zaraz i rzekli razem:

— Skończyliśmy!

I każdy z nich blady ze wzruszenia stanął przy swem dziele. Lewis Jackson podszedł do nich. Bledszy był jeszcze od malarzy, portrety bowiem Magdaleny Maixent były nietylko bardzo podobne, ale i nadzwyczaj wyraziste, sportretowana osoba wyglądała na nich jak żywa.

— Dziękuję panom — rzekł. — Portrety są bardzo dobre.

Obejrzał uważnie po kolei wszystkie trzy obrazy, potem zamknął na chwilę oczy, by wywołać w pamięci istotne rysy zmarłej żony.

— Tak, bardzo są dobre — powtórzył. — Nie mogę powiedzieć, patrząc z artystycznego punktu widzenia, który z nich jest najlepszy. Uważam, że wszystkie trzy świetne. Taki profan jak ja, nic więcej nie może zrobić, jak tylko je podziwiać.

Malarze skłonili się lekko wobec tej pochwały, zwróconej do nich wszystkich.

— Lecz — ciągnął dalej businessman — jest także inny punkt widzenia, nie mający nic wspólnego z czystą sztuką, na którym jednak ja muszę stanąć, by przyznać przyrzeczoną nagrodę. Jest to podobieństwo... Pański pędzel, panie Lourmier, najściślej oddał rysy osoby, której fotografię panom dałem...

Stary malarz stał się purpurowy z radości i tak nisko się skłonił, iż końce jego długiego krawata dotykały podłogi.

— Proszę panów — dodał Lewis Jackson, zwracając się do dwóch drugich malarzy, którzy zagryźli sobie wargi — pragnę wyrazić całą swą wdzięczność za pracę panów... pozwolą mi więc pannowie, iż podwoję cenę, na jaką zgodziliśmy się poprzednio...

I Amerykanin, wyjmując książeczkę czekową, napisał na niej kilka słów. Potem ruchem spokojnym, jakby częstował ich papierosami, podał Lucyanowi Wiktorowi Lourmier czek na milion dwieście tysięcy franków, a dwom jego zwycięzonym rywalom czeki po dwieście tysięcy franków. Potem uścisnął każdego z nich za rękę i pożegnał, zostając sam z trzema arcydziełami.

Długo przypatrywał się portretowi, który stawiał mu przed oczy jak żywą jego nieszczęśliwą małżonkę. Potem wziął go i zaniósł do gabinetu, w którym Smith załatwiał dzienną korespondencyę.

— Postara się pan o jakiego dobrego ramiarza, by oprawił ten obraz — rzekł businessman, stawiając portret na jednym z foteli w głębi pokoju.

— *Yes, sir!* — odpowiedział sekretarz.

Zapukano do drzwi. Był to Piotr Cartelegue. Młody człowiek mógł wchodzić do swego wuja o każdej porze, bez anonsowania się. Za nim szedł Maurycy de Terrade.

— A Panajon?

Były to pierwsze słowa Piotra.

— Jeszcze nie dał znaku życia — odpowiedział miliarder.

Brwi króla stu dwudziestu koni zmarszczyły się. Nie przychodził on jednak tylko po nowiny. Wizyta jego miała jeszcze inny cel.

— Chciałbym widzieć Kamillę — rzekł. — Muszę prosić ją o przebaczenie za swą wczorajszą brutalność...

— Istotnie, wyrządziłeś krzywdę temu biednemu dziecku — potwierdził Lewis Jackson.

— Och! niech wuj już nic nie mówi! Wyrzuty, jakie znoszę, nie dają mi spokoju!

— Proszę poprosić tutaj pannę de Lagunan.

W chwilę potem weszła młoda panna. Przyszła z nią i Ludwika.

Obłąkana coraz bardziej przywiązywała się do swej pielęgniarki i nie chciała się z nią rozłączać, chociaż nie poznawała jeszcze, kto ona jest. Do tej pory nie mogła wieczorem usnąć, dopóki Kamilla nie usiadła przy jej łóżku. Piotrowi zmarszczyła się boleśnie twarz na widok dziecięcego uśmiechu i błędnego wzroku Ludwiki. Zwrócił się jednak zaraz do Kamilli i spojrzał na nią błagalnie. Jednocześnie Maurycy podszedł do młodej panny i szepnął jej:

— Piotr nie wie, jak cię prosić o przebaczenie za swe wczorajsze słowa...

Kamilla ruchem ręki przerwała inżynierowi. Chciała mówić, lecz wybuchła tylko płaczem i wyciągnęła ręce do swego przyjaciela młodości. Piotr rozpłakał się również i chciał upaść do nóg młodej pannie. Nie dopuściła jednak do tego. Usta ich tylko przylgnęły do siebie i łzy ich się zmieszały.

— *All right!* — rzekł Lewis Jackson.

Joe Smith miał także załzawione oczy. Nie zwracano już uwagi na Ludwikę, która jak dziecko krążyła się po obszernym, wspaniale umeblowanym gabinecie.

Nagle wielki krzyk wyrwał się z jej piersi i wszyscy obrócili się ku niej.

Obłąkana była w rogu gabinetu i blada, nieruchoma stała jak posąg przed portretem, ustawionym na foteli. Oczy jej rozwarte szeroko świeciły się jakimś nadzwyczajnym blaskiem.

— Co to? — rzekł Lewis Jakson. — Co jej się stało?

Nie dokończył. Zdanie jego przerwał nowy krzyk.

— Mamo! — zawołała Ludwika, padając na kolana. — Mamo!...

I osunęła się na ziemię bez sił. Wszyscy podbiegli do niej. Oczy jej były na pół rozwarte. Spojrzała na twarze nad sobą pochylone.

— Piotrze... — szepnęła, zatrzymując wzrok na młodym człowieku, który ją podtrzymywał. — Toś ty... Dziękuję...

I przy tych słowach zemdlała.

. . . .

Na drugi dzień rano o wczesnej porze Lewis Jackson wraz ze swymi przyjaciółmi znajdował się w wielkim sześciookiennym salonie, najwspanialszym z całego pałacu. Była z nimi i Ludwika, brakowało tylko Ewy i Panajona. Ludwika z twarzą bladą i zmęczoną, lecz uśmiechniętą i z żywemi, jaśniejącemi inteligencyą oczami stała przytulona do miliardera, który ręką obejmował ją wpół. Lewis Jackson z radcścią poraz dziesiąty opowiadał i wszyscy z ciekawością po raz dziesiąty słuchali dalszych wydarzeń wczorajszego dnia.

Młoda panna po odzyskaniu przytomności poznała i Kamillę, jak poprzednio poznała Piotra. Zapytała ich zdziwiona, gdzie się znajduje, kto są te osoby, które ją otaczały i co się z nią stało. Nie była już obłąkaną i nie wiedziała wcale, że chorowała. Zdumiona była tylko, że widzi tu portret swej matki. Wśród ogólnego nie do opisania wzruszenia, Lewis Jackson, ledwie panując nad sobą, prawie ze łzami w oczach zaczął zadawać Ludwice pytania. W kilka chwil potem, po uzyskaniu informacyi, wybiegł jak szalony. Pobiegł do tej Levallois, u której młoda nauczycielka urodziła się i spędziła z matką pierwsze lata dziecięctwa. Wieczorem powrócił jeszcze bardziej wzruszony i wtedy przyjaciele jego i Ludwika sama poznała niezwykłą historyę swego życia.

Magdalena Maixent, gdy przeniosła się do robotniczej dzielnicy Paryża, zmieniła nazwisko. Nie chciała powrócić także do swego panieńskiego nazwiska i przybrała zupełnie zmyślone. Opuszczona przez męża, wpadła w nędzę i unikała wszystkiego, co mogłoby przypominać ją jej dawnym znajomym. Prągnęła zerwać z całą przeszłością. Podała się za wdowę nazwiskiem Dubois i dostała się do fabryki perfum do mycia buteleczek. Ani na chwilę nie przyszła jej myśl o śmierci samobójczej. Chciała żyć i pracować dla dziecka, które miało się urodzić. Ona jedna tylko wiedziała, że ma zostać matką. Nie zdążyła się jeszcze zwierzyć ze swemi nadziejami mężowi, gdy między nimi nastąpiło gwałtowne zerwanie.

W kilka miesięcy potem urodziła się Ludwika. Biedna kobieta upadała pod ciężarem pracy, byle tylko wychować swe dziecko na coś więcej, niż na robotnicę. Córka jednak, gdy doszła do starszego wieku, zaczęła się temu opierać. Błagała matkę, by pozwoliła jej samej wziąć się do pracy, którąby przynosiła zaraz jakąś materyalną korzyść. Magdalena Maixent nie ustępowała jednak prośbom córki. Ludwika musiała się uczyć i skończyć szkoły. Zaledwie zdobyła ostatni dyplom, gdy matka jej, jakby uznając, że wszystko spełniła na świecie co do niej należało, umarła. Ludwika pozostała sierotą i teraz dopiero zaczęły się dla niej bolesne doświadczenia życiowe.

— Miałem córkę! I to była ona! — powtarzał teraz ciągle Lewis Jackson.

Za każdym razem, gdy wymawiał te słowa, zdawało mu się, że śni. Zaczął teraz przyzwyczajać się już do tego niespodziewanego faktu. Nie wątpił już, lecz ciągle jeszcze był pogrążony w jakiejś ekstazie, którą podzielała i jego córka. Koło nich Kamilla, Piotr, Maurycy i Joe Smith jaśnieli radością. I dzisiaj przy blasku słońca byli jeszcze weselsi, niż wczoraj wieczorem. Nikt też nie słyszał pukania do drzwi. Obrócili się dopiero na głos służącego, który pytał:

— Czy może pan przyjąć pana Harrisa?

— Pana Harrisa? — zawołał miliarder. — Ależ naturalnie.

Nowe wzruszenie ogarnęło wszystkich.

Weszli Panajon i Ewa.

— Ach! moje drogie dziecko! — rzekł Lewis Jackson, podchodząc do byłej prasowaczki.

I ściskał ją serdecznie za ręce.

— Ludwika umierała z głodu, a pani ją uratowała... Pani ona zawdzięcza życie... Ach! drogie dziecko, bądź szczęśliwa i błogosławiona przez całe życie, żeś była dobrą dla mej córki, żeś była dla niej prawdziwą przyjaciółką!

— Panie! — szeptała Ewa wzruszona i zdumiona. — Nie rozumiem...

Panajon, który sądził, że wszyscy pośpieszą do niego z zapytaniem o Dureta, Panajon, który wszedł z miną zwycięzcy, stał teraz osłupiały.

— Co to? — rzekł. — Cóż to pan śpiewa?... Och! przepraszam! Chciałem powiedzieć, że i ja nic nie rozumiem...

— Ależ Ludwika nie jest obłąkana! — zawołała nagle piękna prasowaczka, patrząc na uśmiechniętą młodą pannę, która podchodziła do niej.

Ludwika rzuciła się w ramiona swej przyjaciółki. Piotr, Jackson, Smith i Maurycy mówili wszyscy razem. Panajon, który coraz mniej rozumiał, wytrzeszczał tylko swoje wielkie oczy. Wreszcie Lewis Jackson nakazał milczenie i opowiedział wszystko po raz jedenasty.

Były złodziej i Ewa słuchali tego z rozwartemi ustami. Gdy po tem opowiadaniu minęło ich pierwsze zdumienie, Panajon rzekł do miliardera:

— A co? Dobre miał oko Balazzo! Przypomina pan sobie, jak od pierwszego wejrzenia odkrył on rysy podobieństwa między panem i panną Ludwiką i z tego wnioskował o pokrewieństwie? Co za człowiek?

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Rząd środkowy odpowiednio odgadniętych wyrazów, czytany z góry na dół, poda nam zdarzenie z przed kilku miesięcy, które dość kłopotów przysporzyło Turcyi.

```
              □
            — □ —
          — — □ — —
            — □ —
              □
            — □ —
          — — □ — —
        — — — □ — — —
      — — — — □ — — — —
    — — — — — □ — — — — —
  — — — — — — □ — — — — — —
    — — — — — □ — — — — —
      — — — — □ — — — —
        — — — □ — — —
          — — □ — —
          — — □ — —
            — □ —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę domowe. 3 Przyrząd sportowy. 4 Pieniądz rzymski. 5. Spółgłoska. 6. Przyjaciel Mickiewicza. 7. Rodzaj poezyi. 8. Muzykant. 9 Zwierzę afrykańskie 10. Miasto w Rosyi. 11. Naród europejski. 12 Miasto w Persyi. 13. Członek rodziny. 14. Rzeka w Królestwie Polskiem 15. Ptak. 16 Ryba.

Szarada.

Ułożył H. Tournelle, Lwów.

Wprost przyimek znaczy,
Kierunek wskazuje
Wspak szachistom znane,
Przegraną zwiastuje!

Zadanie konikowe.

Ułożyła H. Zegartowska, Bogucice.

Litery, połączone ze sobą zapomocą skoków konika, utworzą ucieszny dwuwiersz.

o		e	s	o	d		
s	a	m	d		z	i	y
	ż	c		e	p	ł	
r	z	ł		y	k	p	
	r		n	e	d	n	o
w	t	a	o		a		y
k		a	i	i	a		n
	n	s	j			m	

Szarada.

Ułożył Prenumerator z Bochni.

Pierwszy w Chorwacyi wielkim dygnitarzem,
Drugi i trzeci był wodzem Sokołów,
Wszystek za Polskę przed świętym ołtarzem
Błaga i Boga i jego aniołów.
Ojczyzny miłość gdy z ambony niesi,
My do stóp jego garniem się, jak dzieci
I uwielbiamy to szlachetne serce,
Co pokochało naród w poniewierce.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie: Łyżka, dary, Damm, o co, korzec, wola, ej, u.

Łamigłówka.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda rozwiązanie.

```
 — ac
 — ga
aa —
wa —
 — ra
 — en
ni —
to —
 — ak
 — li
wa —
se —
 — wa
 — ór
ok —
ya —
 — lf
 — is
cz —
źl —
```

Zagadka.

Ułożył H. Tournelle, Lwów.

Dwie litery w jednym rzędzie,
A z nich nazwa rzeki będzie!

Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Bałabana:* **Żydzi lwowscy na przełomie XVI. i XVIII. wieku.**



REUMATYZM i PODAGRĘ

można wyleczyć wszechświatowo znanym środkiem.

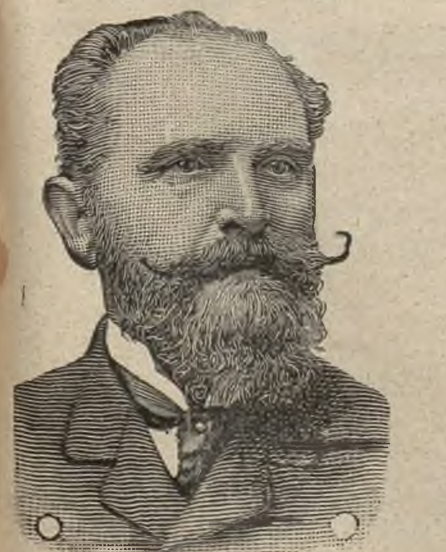
[…]ilka tysięcy osób zupełnie wyleczeni zostali dzięki temu środkowi.

Żądajcie środek ten w każdej aptece lub składzie aptecznym.

[K]ażdy czytelnik tego wydania, cierpiący na reumatyzm lub podagrę, powinien po przeczytaniu niniejszego, niezwłocznie zaopatrzyć się tym cudownym środkiem, gdyż […]wy pomaga i w tym wypadku gdzie wszelkie inne lekarstwa nie okazały nawet najmniejszej […]. Tysiące nieszczęśliwych, cierpiących na tak męczące choroby jak reumatyzm, podagra, scya[…]a i ischias, dzięki temu środkowi powrócili do zupełnego zdrowia.

Ja chciałbym wyleczyć każdego cierpiącego na tę chorobę, gdyż ja sam przez dłuższy […]s cierpiałem na jedną z tych najuporczywszych form reumatyzmu i podagry i żaden lekarz […] był w stanie mi pomódz; wszyscy lekarze uznali chorobę mą za nieuleczalną i osądzony zo[…]em męczyć się i cierpieć do końca mego życia. Będący już blizko rozpaczy, przyszedłem na pomysł chorobę tę studyować i zacząłem usilnie pracować z nadzieją samemu wynaleźć środek dla mego wyleczenia. Po upływie dłuższego czasu udało mi się wynaleźć zestawienie ziół, po którego użyciu uczułem znaczne polepszenie. Z wielką wytrwałością nadal używałem środek ten i po upływie krótkiego czasu, zdołałem oswobodzić się zupełnie od strasznych mych cierpień.

Od tego czasu postanowiłem zapoznać wszystkich cierpiących na tę chorobę z środkiem mym i pokazać im, że choroba ich **nie** jest niewyleczalną, równocześnie chcę wskazać wszystkim jakim sposobem mogą otrzymać dla siebie ten cudowny leczniczy środek. Z każdą pocztą otrzymuję listy dziękczynne, z których poniżej wybrane następujące.



Ruda Maleniecka, 2 Luty 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

[P]rzepraszam WPana żem tak długo nie odpisał list, który otrzymałem i za pamięć dziękuję. Po użyciu czterech pudełek Pańskiego środka [T]rayser" ból z ramienia ustąpił i czuję się zdrów. [U]ważam sobie za obowiązek, między znajomymi rozgłaszać o środku uleczonym „Trayser". Również [nie] mam nic przeciw temu jeśli Sz. Pan list mój [u]mieści na liście wyleczonych pacyentów przez [śr]odek „Trayser".

Z poważaniem **H. Werner.**



Łódź, 12-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Zwracam się do WPana i donoszę Mu, że preparat „Trayser" otrzymałem i po użyciu takowego czuję się zacznie lepiej, spodziewam się, iż przy dalszem używaniu pastylek „Trayser" wyleczę się całkowicie gdyż czuję się coraz lepiej. Równocześnie dołączam swoją fotografię, jak również upraszam list mój umieścić w liście wyleczonych przez preparat „Trayser". Poczytuję sobie za obowiązek rekomendować preparat „Trayser" między cierpiącymi. Dziękuję WPanu za łaskawą pomoc.

Z poważaniem **P. Szymanowski.**



Lublin, 26-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Przepraszam najmocniej, że tak długo nie dałem żadnej odpowiedzi, gdyż czekałem rezultatu mojego leczenia się i dzięki Pańskiemu wynalazkowi „Trayser" jest mi znacznie lepiej. Wdzięczność moja dla WPana jest wielką i gdziekolwiek mogę staram się gorąco polecać środek ten.

Z poważaniem **Bronisław Żarnicki.**

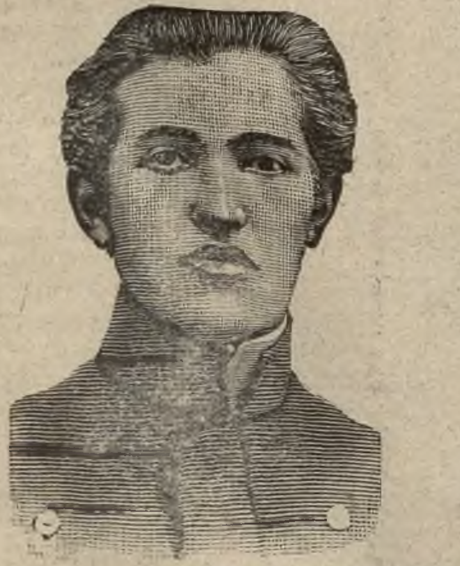


Tarnopol, 16-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Po użyciu Pańskiego leczniczego środka „Trayser" czuję się o wiele lepiej i już mogę sama chodzić. Ten pan z ulicy Kraszewskiego napisał na moje polecenie. Posyłam WPanu fotografię oraz składam serdeczne dzięki za Jego skuteczny „Trayser".

Z szacunkiem **Katarzyna Prochacka.**



Łódź, 5-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Niniejszem zaświadczam skuteczność Pańskiego preparatu „Trayser". Po użyciu jednego pudełka pastylek przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser" czuję się zupełnie dobrze za co WPanu składam najserdeczniejsze podziękowanie. Pański preparat rekomenduję znajomym. Przy niniejszem dołączam swoją fotografię i pozwalam WPanu list mój zamieścić w liście wyleczonych.

Z poważaniem **Stefan Szmidt.**



Ciechanów, 11-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Z przyjemnością przesyłam WPanu fotografię swoją i jestem obowiązany potwierdzić, że środek „Trayser" jest najskuteczniejszy i najlepszy dotychczas wynaleziony do leczenia reumatyzmu i podagry, gdyż po użyciu tylko małej ilości tego cudownego środka czuję się zupełnie zdrów i polecam takowy wszystkim znajomym.

Z poważaniem **Franciszek Tetrzyński.**



Radom, 10-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem, gdyż byłem w podróży. Spieszę donieść, że gdzie mogę polecam lekarstwo WPana, które bez wszelkiej blagi daje wprost świetne rezultaty, o czem niejednokrotnie przekonałem się, i tak mój znajomy kupiec z Radomia p. J. Wadrewski zachorował na reumatyzm, leżał w łóżku 3 miesiące, leczył się różnemi środkami, kosztowało go to grube pieniądze, lecz bez rezultatu, dałem mu pastylki „Trayser" pomogły o tyle, że wstał z łóżka i o kiju zaczął chodzić, dałem adres WPana i sprowadził preparat Pański i dziś jest prawie całkiem zdrów, to samo jest z moją żoną czuje się zupełnie dobrze. Pyta WPan czy może treść listu mego ogłosić, ależ proszę bardzo, wszak to co napisałem jest szczerą prawdą, niema w tem przesady ani też blagi, jestem wielce wdzięczny WPanu gdyż pozbawił żonę moją choroby, tak przykrej i kosztownej w leczeniu. Stosownie do życzenia posyłam fotografię żony. Proszę wierzyć, że gdzie będę mógł będę polecał środek WPana.

Z poważaniem **J. Wagner.**

Na żądanie wysyłam niezwłocznie dokładne adresa wyżej wzmiankowanych osób.

DOPRAWDY, po przeczytaniu powyższego, nawet najuporczywszy sceptyk przyznać musi, że odkrycie tego środka jest darem dla cierpiącej ludności. Ja mogę zapełnić książki w kilkunastu tomach, i wtedy wątpię czy mógłbym umieścić wszystkie otrzymane listy dziękczynne. Młody i stary, bogaty i biedny słowem we wszystkich stanach i warstwach społecznych z wszystkich części świata otrzymuję zawiadomienia o zupełnem wyleczeniu dzięki tylko temu środkowi. Wielu z nich już od kilku lat przykuci byli do łoża, inni zaś z powodu strasznych cierpień reumatycznych tylko za pomocą laski poruszać się mogli, a ani jeden z podobnych wypadków nie okazał się beznadziejnym dla środka od reumatyzmu i podagry „Trayser".

Żądajcie dlatego niezwłocznie środek ten przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser" w każdej aptece lub składzie apt.

Środek ten zestawiony jest w formie pastylki, każda pastylka jest jedną dozą. Wystrzegajcie się podrabiań i żądajcie tylko prawdziwy „Trayser". Aby przekonać WP. że jestem w zupełności pewien w skuteczną siłę mojego leczniczego środka i, że takowy musi bezwarunkowo WP. pomódz, to jeżeli WP. nie żąda niezwłocznie udać się do apteki aby kupić środek ten, nie próbując go wcześniej, gotów jestem wysłać WP. zupełnie bezpłatnie próbny pakiecik tego środka pod warunkiem, że WP. wypełni dokładnie niżej drukowany kupon i przyśle takowy pod moim adresem. Gdy WP. środek ten już spróbuje, może potem żądać takowy w każdej aptece lub składzie aptecznym. Adres mój:

M. E. TRAYSER, Nr. 162 Bangor House, Shoe Lane, LONDON, England.

UWAGA. — Jeśli WP. żądać będzie więcej tego środka, może dostać takowy na miejscu w aptece lub składzie aptecznym.

KUPON.

Upraszam o przesłanie próbnego pakiecika środka leczniczego przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser" jak również bezpłatną broszurę w języku polskim z opisem o reumatyzmie i podagrze, ich przyczyny, rozmaite postacie i leczenie.

Imię i nazwisko ....

Adres ....

....

Cierpię ....

(Upraszam napisać tutaj czy na reumatyzm lub podagrę WP. cierpi).

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego.